Numer 14. Nal. poczt. opł. ryczałtem. **Dnia 6 Kwietnia 1930**



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

O ósmej rano.

— Żona: Nie wstyd ci, łajdaku, przychodzić do domu o 8 rano?

— Mąż: A tobie nie wstyd o 8 rano jeszcze w łóżku leżeć, gdy wszyscy porządni ludzie już są na nogach?



W sądzie.

Sędzia do oskarżonego: Znów was przyłapano na kradzieży. Czy ty, człowieku chcesz zgnić w więzieniu?

Oskarżony: Co pan sędzia powiada?! To tam teraz taka wilgoć?



Jeszcze jej mało.

Panienka z dużym nosem: Nicbym nie chciała, tylko żeby mi Pan Bóg dał inny nos.

Służąca: Niech panienka nieobraża Pana Boga! Abo to ten za mały?



Dobra rada.

— Co robić aby zostać bogatym?
— Trzeba być przez kilka lat świnią.
— A potem?
— Potem już nią zostaniesz.

W magazynie.

Żona: Co myślisz o tym kapeluszu? Panna sklepowa mówi, że wyglądam w nim dziesięć lat młodsza.

Mąż: Naprawdę? A to kup z pięć takich kapeluszy.



Wygrał zakład.

— Widziałeś już kiedy konia z drewnianą nogą?
— Nonsens. To niemożliwe.
— Zakład! O szkapę.
— Zgoda. Gdzieżeś ty takiego konia widział?
— Przy karuzeli.



Różnica.

— Jaka jest różnica pomiędzy dyplomatą a bandytą?

— Taka, że dyplomata może pójść wysoko, jeśli jest zręczny, bandyta zaś, jeśli jest niezręczny.



W aptece.

— Te tabletki są na żołądek, te na nerki, a te na ból głowy.

— Panie aptekarzu, ja już będę wiedział, ale czy te tabletki będą wiedziały, w które miejsce pójść mają?

Numer 14. Rok XIII. Kraków, dnia 6 kwietnia 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301 Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500.868.

Miłość rodziców.

Rodzicom zawdzięczamy prawie wszystko to, co na ziemi posiadamy, czem jesteśmy. Rodzice są po Bogu naszymi największymi dobroczyńcami. Kochali, a jeśli jeszcze żyją kochają nas tak, jak nikt więcej z ludzi. Ta przeogromna miłość rodziców ku dzieciom była przyczyną największych poświęceń rodzicielskich.

Za miłość rodziców każde szlachetne dziecko powinno się im odwdzięczyć również miłością. Niewdzięcznik tylko nie chce uznać wartości darów otrzymanych od swoich dobroczyńców, lecz gorliwie poszukuje ich rzeczywistych czy urojonych win, któreby osłoniły jego wstrętną wadę, jego niewdzięczność. Tak też postępują niewdzięczne, złe dzieci. Rodzice w ich pojęciu są źli, są ograniczeni, by nie powiedzieć głupi, dlatego też słuchać i kochać ich rzekomo trudno.

Takie niewdzięczne dziecko nie chce o tem wiedzieć, że rodzice może niegdyś długie noce bezsenne spędzali przy ich łóżeczkach, może kawałek chleba od ust sobie odejmowali, by kochane dziecko nakarmić i wychować. Nic bardziej nie zrani kochającego rodziców serca, jak niewdzięczność, jak złe życie ich tak ukochanych dzieci.

Słusznie rodzice spodziewali się, że to ich dziecię, które tak ukochali, dla którego żadna ich ofiara nie była za wielką, będzie ich radością. I tak być powinno i Bogu dzięki często tak bywa.

Niekiedy jednakże rzeczywistość zupełnie inaczej się przedstawia. Ojciec i matka proszą dziecko, by nie szło na zabawę, na tańce, rozpustę i własną zgubę może. I za swe roztropne i miłości pełne rady spotykają się ze strony dzieci z wielką nieraz niewdzięcznością, z lekceważeniem, z gniewem, oburzeniem. A może rodzice są biedni. Nie posiadają dostatecznych środków na kupienie córeczce takiego płaszcza, jaki ma jej koleżanka. Niewdzięczne dziecko nie potrafi ocenić ich położenia, lecz płacze, gniewy, może przekleństwa nawet bywają zapłatą rodziców za ich miłość. A może nawet są takie nieszczęśliwe, złośliwe i głupie istoty, które w swojem szaleństwie odważą się podnieść swoją świętokradzką rękę na starego ojca, na starą matkę.

Nie daremnie mówi Bóg, że „przeklęty syn i córka, co zasmuca ojca i matkę swoją". I rzeczywiście niekiedy można widzieć dowody doraźnej sprawiedliwości Bożej wobec takich niewdzięcznych, czy nawet okrutnych dzieci. A chociażby nawet Stwórca z wymiarem sprawiedliwości w Swojej Boskiej mądrości zaczekał na nawrócenie się niewdzięcznika, jeśli to nie nastąpi, sprawdzi się napewno przysłowie: Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy. Nie zapominajmy, że póki żyjemy, droga do poprawy, do doskonalenia się jest przed nami otwartą, wolną.

Nasz największy powieściopisarz i wielki nauczyciel naszego Narodu, Henryk Sienkiewicz, uczy nas: „Życie jest wielkim skarbem, trzeba tylko umieć z owego skarbu najcenniejsze wybierać klejnoty". I cóż może być piękniejszem, cenniejszem w życiu rodzinnem, jak wzajemna miłość szlachetna. Gdy w rodzinie panuje jedność, szacunek wzajemny, zgoda, rodzina taka jest silną, zadowoloną, wywiera dodatni, uszlachetniający wpływ na społeczeństwo i przeciwnie.

Miłość szlachetna ku rodzicom objawia się w pięknych myślach, w życzliwych słowach, a przedewszystkiem w czynach, w posłuszeństwie. W których rodzinach króluje Bóg, tam i prawdziwa miłość mieszka, a razem z nią wspólne zadowolenie. Takiej więc miłości wszyscy gorąco pragnąć, o nią gorliwie starać się powinniśmy.

Jan Pelczar.

MAURYCY JOKAY.

W tajemniczej ziemi złota

Powieść tłómaczona z węgierskiego przez K. Górskiego.

Kiedy nasi wędrowcy jechali konno po skalnej ścieżce do zamku Tamary, przekonali się, że Czerkiesi nie pędzili swych stad tą drogą. Nie było tu bowiem żadnych śladów zwierzęcych; zato znaleźli na pewnych miejscach, gdzie droga się trochę rozszerzała, prawie że nie do przebycia gęstwinę krzaków kaukaskich. Grube łodygi borownika i innych pnących się roślin tworzyły miejscami tak gęste sploty, że dla koni musiano torować drogę mieczem. Nad gmatwaniną krzaków widzieli obaj jeźdzcy wznoszącą się ruinę, podobną do wieży i do niej chcieli się dostać.

Z ogromną trudnością obaj mężowie wyszli na wieżę, z której mogliby się rozglądnąć po okolicy.

Oczy ich zauważyły dziwne zjawisko. Słońce właśnie miało zachodzić, zalewając cały kraj żółtoczerwonem światłem.

Wprost przed nimi zamykał horyzont wał gór, wysoko strzelających w górę, przedtem ich jednak nie widzieli. Nad wierzchołkami tych gór unosiła się gęsta, złocista mgła, niby jakieś tajemnicze zjawisko z baśni. A jako bardzo daleki cień, umiejętną ręką narysowany na chmurach królował nad najwyższemi szczytami Elbrus.

Szeroką przestrzeń leżącą między skałami, na których stali nasi wędrowcy i między tamtemi górami, wypełniały przepiękne doliny, a przerywały je potoki, walące się z gór w dół, a łączące się na równinie w jedno wielkie jezioro. W jego spokojnej, szmaragdowej toni odbijały się cienie lasów, rosnących na górskich stokach. Wszędzie, gdzie na stoku palił się ogień, odbijała się i jego łuna w jeziorze.

W tej dolinie poruszały się tysiące sztuk bydła rogatego i koni; szczyty gór roiły się od owiec, a srebrzyste pasy znaczyły drogę bawołów, płynących po jeziorze. Tutaj ukrywały się kobiety i dzieci, tutaj uprowadzili Czerkiesi swoje stada, tu ochronili się przed rosyjskiem wojskiem.

Ale w jaki sposób mogli się dostać do tej doliny? Jak było można pokonać wodospad i silny prąd przed zamkiem królowej Tamary?

Rjumin zaraz rozwiązał tę zagadkę przy pomocy swoich szkieł.

Rzekę, wypływającą z przeciwnej skalnej szczeliny można było zamknąć specjalną zaporą, zaś przez otwarcie umyślnie urządzonego nasypu sprowadzono wodę do owego jeziora, przez co w przełęczy pod zamkiem królowej Tamary i w korycie rzecznem znikała woda i uciekinierzy mogli wraz ze swemi niezliczonemi stadami spokojnie przejść na drugą stronę. Kiedy już znaleźli się na przeciwnym brzegu, wyciągnięto zaporę, a rzeka Szemesz znów wróciła do swego starego łożyska, przez co zamknięto bramę, prowadzącą do ukrytej doliny. Rzeka odgrywała więc rolę wiecznie czuwającego strażnika — była wodzem i zarazem wojskiem.

Rjumin głęboko się nad tem zastanowił. Jeżeli brama, prowadząca do tajemniczej ziemi złota, również tak będzie zamknięta, to trudno znaleźć klucz, mogący posłużyć do jej otwarcia.

Ale dlaczego? Do żelaznej bramy koniecznie trzeba znaleźć kluczyk złoty.

Jest teraz pytanie, kto mieszka blisko takiej bramy, na jakie hasło opuszcza się zaporę, a otwiera oddzielony nasyp.

Zeszli do doliny rzeki Szemeszy — co było nader odważnem dziełem. Mieszkają tam nietylko żony Abachazów, które zeszły się tutaj z dalekich stron, bo mężczyźni zaś są obecnie w puszczach koło Suczuk-Kaleh, skąd urządzają swoje nocne napady na Rosjan. Kobiety, wypędzone ze swych domów i odłączone od swych mężów nie są już kobietami, ale hjenami, lepiej je też omijać zdaleka.

Już nadchodziła noc, nasi wędrowcy zmuszeni byli wbrew swej woli przenocować na tem miejscu. W jednej ścianie wysokiej wieży znajdowała się większa nisza, porosła różnorodnemi pnącemi się roślinami. Nasi wędrowcy wycięli rośliny swojemi mieczami i przygotowali sobie w niszy schronisko dla siebie i swych koni.

Potem zaczęli przygotowywać dla siebie wieczerzę.

Zapasy mięsa sarniego, ukryte w tłomoczkach teraz im bardzo się przydały. Meczychetis nabił na rożnie udziec sarni, Rjumin zapalił ogień.

Ledwo ogień zaczął się rozpalać, a wkoło szerzyć zapach pieczonego mięsa, odezwał się z tej strony, gdzie to w wieży znajdowało się okrągłe okno, jakiś dziwny skrzek i głośne wzdychania. Pierwsze zauważyły to konie i swój niepokój okazywały, parskając nerwowo i podskakując.

Teraz też obaj mężczyźni zwrócili uwagę na cichy szelest, zbliżający się ku nim od wieży. Przygotowawszy swoje strzelby do strzału, czekali obaj, co pokaże się ich oczom.

A zjawiło się istne straszydło!

Inaczej istoty tej określić nie było można. Takich istot nie stworzył Bóg, — tak mogą tylko ludzie okaleczyć swego bliźniego.

Pojawiło się dziewczę o twarzy pokrytej zmarszczkami, chociaż było jeszcze młode; w jego oczach zaznaczało się szaleństwo, a rysy twarzy podobne były raczej do trupa, niż do żyjącej istoty.

Rozpuszczone i nieuporządkowane włosy dziewczyny, spadały na twarz, a kiedy wyszła ze swej kryjówki odrzucała je ręką, niby zasłonę, aby mogła lepiej widzieć. Miała strasznie wychudłe nogi, ubrane w rozpadające się szmaty, przez które można było widzieć straszne okaleczenie, zadane jej przez jakąś okrutną rękę. Obcięto jej piersi. Jej prawica ciągle zakrywała na piersiach te miejsca, na których znajdowały się straszne blizny, one to prawdopodobnie sprawiały jej okropne boleści.

Zaraz można było odgadnąć, kto to taki. Była to ofiara sekciarzy „moralistów", którzy w straszny sposób robili z dziewcząt swoje święte pośredniczki— obietnice między Bogiem i ludźmi.

Nie była to bohaterka królowej Tamary, której odcięto prawą pierś, aby jej nie przeszkadzała w strzelaniu z łuku, ale była to ofiara zwyrodniałego fanatyzmu religijnego.

Święta ta zaczęła mówić. Głos jej brzmiał jak bolesne wzdychanie, jako jęki człowieka ciężko chorego, ale któremu życie jest ciężkiem brzemieniem, a jednak obawia się śmierci. Każde słowo sprawiało jej mękę, ból ten odczuwali i ci, którzy musieli jej słuchać.

Dziewczę mówiło po rosyjsku.

— Zgaście ogień! — mówiła. A ponieważ nikt jej nie usłuchał, rozgniewała się i krzyczała: — Zgaście ogień, rozkazuję wam to!

Aby dodać większego znaczenia swemu rozkazowi, chwyciła się dziwnego środka. Zaczęła drżeć na całem ciele, zgrzytać zębami, aż obaj mężowie, nie mogąc znieść podobnego widoku, zagasili ogień, rzucając nań wielkie kamienie.

Teraz przybliżyła się do nich okaleczona istota i usiadła na ziemi, zwijając się w taki kłębek, że podobną była raczej do kreta niż do ludzkiej istoty. Te części ciała, których nie zakrywały zgniłe szmaty, zakrywała rękami, jakgdyby chciała ukryć swoją nagość.

Drżała cała od zimna.

— Dlaczego rozkazałaś nam zgasić ogień, kiedy ci tak zimno? — pytał się jej Osjetyniec.

Okaleczone dziewczę smutnie odpowiedziało:

— Bo mój pan nie lubi ognia.

— Kto to jest ten twój pan?

— Ten, który mieszka w wielkiej jaskini.

— Jak się nazywa?

— Wąsaty gospodarz.

— Kim on jest? Czerkiesem lub Rosjaninem?

— Jest to pantera?

— Dzika bestja! I to jest twój pan?

— Ja jestem jego własnością, pożre mnie, gdy się rozgniewa.

— A co robisz, aby cię nie pożarł?

— Daję mu wszystko, co mi ludzie ze wsi przyniosą do jedzenia.

— Więc znajduje się w bliskości wieś?

— Tak; jest to gmina, „synów anielskich".

— Dlaczego ty tam nie mieszkasz?

— Bo jestem obietniczka i nie wolno mi mieszkać wśród ludzi.

— To synowie anielscy przychodzą tu do ciebie i przynoszą ci ofiary?

— Dziennie ćwierć kozy.

— Ty dajesz to panterze, by cię nie pożarła? A z czego ty żyjesz?

— Ja wysysam zawsze sok mięsny.

— Dlaczego synowie anielscy nie zabiją pantery?

— Bo jest wielkim cmentarzem.

— Jakto? Co chcesz przez to powiedzieć?

— Kiedy synowie anielscy chcą, aby ich obietniczka poszła do nieba, a aby na jej miejsce przyszła nowa, przestają przynosić kozinę, a wtedy głodna pantera pożera świętą.

— To może i tobie już nic do jedzenia nie przynoszą?

— Dwa dni już nic nie przynieśli. Mój pan dlatego jest ogromnie rozgniewany.

Rjumina wzruszył głęboko los tego biednego stworzenia, darował jej połeć sarniny. Porwała też mięso łakomie obiema rękami i wbiła weń zęby. Ssała wprost chciwie sok z mięsa surowego, a oczy jej błyszczały, jak u dzikiej bestji. Prędko nasyciła się samym sokiem, nie połykając nawet kawałeczka mięsa. Potem położyła mięso na łono i rzekła półgłosem:

— To należy do mego pana.

Można było na jej twarzy zauważyć jej radość, iż ubogie życie przedłużono jej jeszcze o jeden dzień.

Rjumin podał biedaczce naczynie z wódką, aby nią rozgrzała członki, w których zdawało się nie być ani kropli krwi.

Nieszczęsna napiła się z flaszki, twarz też rozpromieniło szczęście i zadowolenie. Teraz zaczęła się i uśmiechać. Głowa trupa się śmiała. A jednak ten uśmiech zdradzał, że kiedyś była pięknością. Jej oczy miały kolor jasno-niebieski. Gorący trunek rozbudził w niej żywotne siły, które były na wygaśnięciu. Z wdzięcznością spoglądała na Rjumina i przyjacielsko położyła swoją rękę na jego prawicy.

— Ile miałaś lat, gdy zamianowali cię obietniczką? — zapytał się Rjumin.

— Szesnaście.

— Jak długo czczą cię już jako taką?

— Cztery lata.

— Dopiero cztery lata! Po takiem strasznem skaleczeniu cztery lata znaczą tyle, co czterdzieści! Wogóle dziwić się trzeba, że biedactwo może żyć jeszcze.

— Dlaczego właśnie ciebie synowie anielscy uczynili świętą?

— Abym była pośredniczką między nimi i Bogiem. Wysyłam do Boga ich modlitwy i odpowiadam na nie; mam moc prorokowania i odpuszczania grzechów. Teraz już upadam na siłach, nie potrafię dobrze pełnić to, do czego mnie powołano, dlatego synowie anielscy nie są ze mnie zadowoleni i chcą mnie posłać na odpoczynek.

Odpoczynek w paszczy pantery. Litość i obrzydzenie zarazem opanowały duszę Rjumina nad tą żyjącą ofiarą religijnego szaleństwa; ale chytry Osjetyniec nie dał się tak łatwo opanować uczuciowości.

— I my chcemy zostać synami anielskiemi, — rzekł świętej przekonywująco. — Objaśnij nas, co mamy robić, aby nas napewno przyjęli.

Na te słowa dziewczę krzyknęło i zaczęło drżeć na całem ciele.

— Nie wymagaj tego odemnie, — mówiło, zbliżając się przytem jeszcze bardziej ku Rjuminowi, jakgdyby u niego szukało ochrony przed ciekawym Osjetyńcem.

— I ja chcę zostać synem anielskim — rzekł Rjumin.

Teraz dziewczę rzuciło się na ziemię i zaczęło łkać, nie wylewając jednak łez. Prawdopodobnie już dawno łzy w jej oczach wyschły. Potem uklękła na oba kolana i dała mężczyznom znak, by się do niej przybliżyli.

Trzy postacie klęczały obok siebie, a głowy ich prawie że się dotykały.

Dookoła panowała cisza; ani w gęstwienie ciemnozielonych krzaków nic się nie poruszyło, tylko nietoperze latały nad głowami naszych śmiałków.

(Ciąg dalszy nastąpi).

WOJCIECH BYCZEK-BREOWICZ.

Zamek Odrzykoński.

Szkic historyczny z XVII wieku.

(Dokończenie.)

Zaledwie załoga powróciła na zamek, gdy czarne masy wojsk oblężniczych ukazały się w pobliżu, pędząc z okropnym krzykiem na mury. Natychmiast uderzono z dział zamkowych i znowu zawrzała straszna i zażarta walka. Nieprzyjaciel nie zważając na śmierć dziesiątkującą jego siły, podstąpił ze wszystkich stron pod mury, piął się na nie po trupach własnych braci, kruszył je tysiącem rąk uzbrojonych w kilofy, młoty i padał jak trawa pod ciężarem kosy.

Na murach wytężono wszystkie siły, z prawdziwie heroicznem męstwem pracowano do ostatniego tchu dla tej wielkiej i szczytnej idei — obrony rodzinnego gniazda.

Ten zrozumie tylko ogrom mocarnego i znojnego wysiłku ramion i ducha w obronie ukochanej cząstki Ojczyzny i własnego życia — komu niezgłębione wy-

roki Opatrzności dozwoliły choć raz przeżyć podobną chwilę! W takim okropnym rozstrzygającym momencie nie istnieje dla bohatera nic; ani przeszłość, ani przyszłość, ani noc, ani dzień — tylko ta bezkresna i nadprzyrodzona potęga, zmieniająca człowieka w cheruba i wciskająca mu w dłoń straszliwej pomsty pioruny.

IV.

Dni i miesiące płynęły dla załogi jednakowym trybem, podobne do siebie jak dwie krople wody.

Znoszono cierpliwie głód, braki i nędzę, wytężano wszelkie siły tak moralne jak fizyczne z tą myślą i postanowieniem, że pomimo wszystko, wytrwać trzeba! Kiedy mężowie opadali z sił — zastępowały ich kobiety.

Codziennie w kaplicy zamkowej słuchano mszy św., zanoszono gorące modły do Stwórcy o moc i wytrwanie. Znękane dusze ożywiała ciągle ta wiara, że miłosierny Bóg nie raczy wydać na pastwę barbarzyńcy wiernych swych dzieci.

I rzeczywiście stało się coś takiego, czego z tęsknotą oczekiwała cała Polska od lat kilkunastu, nękana wojnami ze wszystkich stron.

Początkiem zimy 1657 r. ukazały się od strony Jasła i Rzeszowa ciągnące z pod Warszawy w wielkim nieładzie i popłochu szeregi jakichś wojsk. W kilka godzin w obozie u stóp zamku ozwały się trąby alarmowe. Wojska nieprzyjacielskie poczęły się gromadzić i formować w szeregi. Z zamku spoglądano z wielkiem niepokojem na zbliżające się wojska i oczekiwano w pogotowiu dalszych wypadków. Jakoż wkrótce wojska przybyłe od zachodu (był to Rakoczy z całą swą armją) połączyły się z wojskami oblężniczemi i całą potęgą uderzyły na zamek. Zawrzała straszliwa walka, polała się obficie krew po obydwu stronach. Nieprzyjaciel przypuścił tak straszliwy szturm, jakiego dotychczas zamek nie widział. Załoga walczyła z dziką rozpaczą i zapamiętaniem. Pierwsze mury tu i ówdzie poczęły się już walić. Zdawało się, że lada moment zamek upaść musi.

Jednak wyroki Opatrzności są niezbadane.

Załodze zdawało się, że cała Polska ginie wraz z upadającym zamkiem, że nikt już nie myśli o spieszeniu oblężonym z pomocą.

Na szczęście jednak było inaczej.

Po opuszczeniu Polski przez Karola Gustawa, który na wieść o wkroczeniu Duńczyków do Szwecji, pospieszył bronić własnego kraju, ożyły i zestrzeliły się w Polsce siły obronne i tem skuteczniej walczono z innymi najeźdźcami.

Książe Lubomirski, chcąc pomścić najazd Rakoczego, wkroczył do Siedmiogrodu, niszcząc jego ziemie. Rakoczy, opuszczony przez Karola Gustawa i uderzony wieścią o przedsięwzięciu Lubomirskiego, uciekł z pod Warszawy, dążąc corychlej do swego kraju. Napotkawszy jednak po drodze twardo stojący zamek odrzykoński, uderzył z całą wściekłością na jego mury.

Lecz oto w ślad za nim podążają dzielni hetmani Czarniecki, Sapieha i Kalinowski z niedużemi wprawdzie lecz zahartowanemi i wielce bitnemi chorągwiami. Dopadłszy go pod Kamieńcem w chwili najcięższej dla oblężonych, uderzyli jak huragan na tyły jego wojsk.

Rakoczy teraz zwrócił swe siły operacyjne przeciw hetmanom, broniąc się z całą wściekłością.

Po parogodzinnym zażartym boju, szala zwycięstwa przechyliła się na stronę wojsk polskich. Rakoczy został rozbity zupełnie i zmuszony do haniebnej ugody.

Cały materjał wojenny i wielkie łupy zagrabione na ziemiach polskich — dostały się w ręce zwycięzców.

Załoga zamkowa odetchnęła z wielką radością, wznosząc gorące dzięki do stóp Tronu za wysłuchane modły, za szczęśliwe zakończenie długiej morderczej walki w obronie świętości narodowej.

Zamek ocalał więc, dzieląc ogólną radość z całym narodem, który po ustąpieniu licznych nieprzyjaciół, święcił na zgliszczach i mogiłach poległych braci — triumf radosnego zwycięstwa.

Na zakończenie nadmienić trzeba, że Rakoczego, za jego ciężkie wobec naszej Ojczyzny przewinienie, spotkała surowa i zasłużona kara.

Cała jego awanturnicza wyprawa rozpoczęła się 18 stycznia 1657 r. Kiedy po znanych wypadkach ks. Jerzy Lubomirski wkroczył do Siedmiogrodu, Rakoczy, opuszczony przez króla Szwecji Karola Gustawa, jak to już wyżej wspomniano, uszedł z Polski z resztkami niedobitków, lecz w własnym kraju pobili go Turcy i Tatarzy. Cała jego armja została wzięta do niewoli i odesłana na Krym wraz z nim i ulubionym wodzem jego wojsk Janem Kémeny. Rakoczy jednak uszedł do Siedmiogrodu, pustoszonego dalej przez Turków i Tatarów, zbierał siły do dalszej walki, lecz rozbity w bitwie pod Koloszem 22 maja 1660 r., umarł wkrótce z ran w Wielkim Waradynie.

— — — — — — — — — — — — —

Zamek odrzykoński, który przez tyle wieków zwycięsko stawiał harde i dumne czoło potędze hord najezdniczych — nie upadł zupełnie i pod tym krwawym ciosem wojennej zawieruchy...

Upadły częściowo mury i baszty obronne, zwalone zostały w znacznej części dachy i budynki zamkowe — ale gród, jako całość, nie upadł, bo duch bohaterstwa i miłości Ojczyzny głęboko w serca i dusze obrońców wrośnięty — zwyciężyć musiał...

Po zwycięstwie nad Rakoczym zamek się częściowo podźwignął i lecząc ciężkie rany — marzył o świtach słoneczniejszych, szczęśliwszych i spokojniejszych dni...

Lecz w r. 1702 najazd szwedzki wali go raz na zawsze w gruzy, a idący czas przekazuje go następnym pokoleniom w stanie smutnej i głuchej pustki cmentarnej...

Do dzisiejszych czasów nad ogromnemi zwaliskami dawnej potęgi powiewa duch jakiejś tajemniczej a uroczystej ciszy — wołając do przechodnia straszliwym głosem Wiekuistej Tajni: Memento mori!...

— — — — — — — — — — — — —

Co do długiej a wielce interesującej historji zamku — odsyłamy Szan. Czytelników do broszurki p. t.: „Zamek Odrzykoński“, którą nabyć można, póki zapas starczy, u autora w Krośnie, w cenie po 80 gr. za egzemplarz wraz z przesyłką pocztową.

Koniec.

WIOSNA IDZIE, IDZIE WIOSNA!



Wiosna idzie, idzie wiosna,
Ustrojona w cudne szaty,
Jako dziewczę, tak radosna.
Sypiąc wszędzie kwiaty.... kwiaty...

Cicho szepce gaj mirtowy,
Szmerem liści na mnie woła.
Z swej zieleni szmaragdowej
Do stóp moich sypie zioła.

O pójdę tam, w gajów ciszę,
Gdzie się snują cudne mary...
Duch się prędzej ukołysze,
Widząc takie cuda... czary...

Czy mnie uszy nie złudziły?
Patrzę, słucham, trę powieki....
Ktoś mnie woła: „Pójdź mój miły!"
Słyszę jakiś głos daleki.

Idę... biegnę, co mam siły,
Tam, skąd cudny głos wypływa:
„Pójdź mój luby! Pójdź mój miły!"
Wszak mnie samo szczęście wzywa!...

Jestem... jestem! jasnowłosa!
U stóp Twoich Ci się ścielę,
Jak ta ranna, czysta rosa,
Jak pył ziemny!... Mój Aniele!..

Jestem... jestem, jak proch mały
Przy królewskiej Twej piękności!..
W oczu patrzę Twych kryształy
I chcę... pragnę Twej miłości!...

Bije serce, pęka głowa,
Omal dusza nie wyskoczy,
Gdy wyrzekła pierwsze słowa,
Gdy zwróciła ku mnie oczy...

„Pójdź mój luby! W drzew tych cieniu
Będziem snuli sen nasz złoty...
Utoniemy w złud marzeniu
Po upiornych dniach tęsknoty!...

A pobrawszy się za ręce:
Ja proch... ona przy mnie...
Szliśmy obok przy piosence,
Przy miłosnym szczęścia hymnie.

I rozśpiewał się las cały,
Dotąd smutny, cichy, dziki,
Kiedy piosnkę swą zagrały
Na konarach drzew chochliki...

Płynie piosnka i gdzieś kona
Za górami, za lasami....
A my dwoje: ja i ona
W rozśpiewanej wiośnie... sami!

Tum z nią chodził... Ona była
Tak rozkoszna, jak pieszczotka...
Tu piosenki mi nuciła,
Jak ta wiochna, taka wiotka.

Kwiaty wonne aż kraśniały,
Gdy wśród kwiatów ona była...
Przed nią główki swe schylały,
Skoro na nie popatrzyła...

Tum z nią chodził wczesną wiosną
I pił słodycz z ust korali
I wił marzeń nić radosną,
Która zda się, życie spali.

Och, wy, ludzie, czy wy wiecie,
Jak rozkosznie tak we dwoje
Błądzić, kędy cudne kwiecie
Rozrzuciło barwy swoje?

A ja miałem taką chwilę,
Co za życie starczyć może,
W której miałem szczęścia tyle,
Że nikt więcej mieć nie może...

Miałem... przeszła i nie wróci.
Ach! wspominać dziś boleśnie!...
Dziś się jeno serce smuci,
Że tę chwilę miałem... we śnie!

Antoni St. Bassara.

Kaśka Myrdalonka gada:



Maciek bez ten święty post tak wam zmizerniał, ze ledwie kulasami za sobą włócy, juz język i reśta, to mu na flak zmiętcał, ze nimoze niem nijak rusyć. To tez pada do mnie: „Na tę niedzielę gadaj ty, Kaśka, bo ja se musę trochę odpocąć i na święta jako tako jadackę wyrychtować. Bo to — pada — przyndzie ta święta wielganoc a śnią wszelakiego świństwa co niemiara, to jakozeby było, aby uściwy katolik nie mógł jęzorem majdać!“

Ano juści, co prawda, to prawda! Zmizerniało to bidacysko bez parę tygodni postne, ze się zdaje, jako śniego nic nie pozostało ino samo brzusysko i parę kostek pod skórą.

Ale dobrze mu tak, bo przez mięsopust nie dbał o siebie. Kochał się i kochał po całem świecie, a o jedzeniu w kuździusieńką noc zapominał. A przecie wiadoma rzec, ze kochania nikt se jesce nigdy nie pojadł. Ja zasię nie byłam taka. Kochanie kochaniem, a jedzenie jedzeniem. I gdy się oboje naraz trafili, tom se najpirw dokumentnie pojadła, a potem dopiero zabierałam się do kochania. Mogło ono dłuzej trwać i lepiej smakowało. Kto nie wierzy, niech spróbuje!

Ze mną tez la tego bez cały mięsopust było tak, ze co którą spodnicę chcę wdziać na siebie, to przyciasna. Dziwowali się ludzie, a nawet raz jegomość skunirowali mnie z kazalnice, ale to nie było to, co oni myśleli. To ino kapustka, a zimiacki tak cłeka rozdymały. Pozabirałam wszyćkie sznurki od chomątów i postronków gospodarzowi, aby trocki przy spodnicy nadśtukować, coby mi nie pękła i nie spadła. Bo ja przecie na cystości się znam i wiem, ze z tego nie byłoby nic inksego, ino wstyd a obraza boska.

Wiadoma rzec, ze niewiasty nie ino z jedzenia pęcnieją, ale i z uciechy wszelakiego rodzaju. A chwalić Boga, u nas w Psiej Wólce tego roku uciechy rozmaitej nie brakowało. Najpirw gdziesik z wiesną łońskiego roku dostaliśmy nowego jegomościa. Cłek z butami uściwy i dobry. Nowy jegomość widzieli, ze w Psiej Wólce bida zębami sceka, tak się ulitowali nad grzysnem narodem i zaraz zapowiedzeli z kazalnice, ze odtąd wszyćkie chrzty znizają la gospodarzy o połowę ceny, a la bidoty do cwartej części, zaś jakby się jakiej kumornicy niescęśliwy wypadek trefił, to i bez nicego się obejdzie. Jak to ludzie usłyseli, tak na zapust zrobiło się w Psiej Wólce tyle chrzcinów, ze prawie chałpy w całej wsi bez nich nie było. A u Pędraków to w jednem dniu miały brzdąców i Margośka Pędrakówna, i sama Pędrakowa i jej matsia, co jesce zesłego roku miała na suchoty zemrzyć. „Kiedy tak tanio — powiadali ludzie — to niech ta będzie, a pastuch się przy chałupie przyda!“

A wiadomo, ze przy chrzcinach to zawse babska ręka się przyda. Baba zawse a zawse potrzebna. Bez baby dziecko się nie urodzi, bez baby niema kochania, bez baby ślubu ksiądz nie da, a więc bez baby i chrzciny się nie obejdą. Wiadomo tacze, ze prawie w kuzdej chałupie bywa ino jedna baba porządna do uzycia, a reśta nieopierzony śmieć i same dzierlatki. A jak się ta jedna rozchorzeje, to juz ni ma kto wtedy ani gadziny, ani chłopa obsłuzyć. Latego tez, jako ze nas było w chałpie dwie, to jest moja gosposia i ja, a zadna się na jegomościne potanienie nie złakomiła, więc my tez bez cały mięsopust miały wszelakiej roboty i przyjemności dość. Jesce się Walentowa z chorości nie podniesła, a juz przyłapało Podkulkową, a zasię nazajutrz inksą, a znowu zapóźniej trzecią i dziesiątą. A bidne chłopy gdziez się miały udać o poratunek, jak nie do mnie, albo do mojej gospodyni. A my latały od chałpy do chałpy i cyniły my kuzdemu wygodę, co i jak trzeba było. A roboty nie brakło, bo to dziecko wykąpać, to warzę ugotować, to garcki pomyć, a do wszyćkiego trzeba mieć nie ino ręce, ale talent, jak się patrzy. Nie jednemu się moze zdaje, ze garcek umyć, to bagatelna rzec. A przecie tak nie jest, bo i do tego trzeba mieć talent i delikatność w ręcach. Niechby naprzykład taki Maciek wziął skorupiany baniacek w swoje pazury. Pewnikiem byłyby z niego (z baniacka, nie Maćka) same skorupy, a na skorupach tych zostałoby dalej jedzenie, jak było przed myciem.

Na myciu trza się znać! Trzeba wiedzieć, jakiej wziąć wody, cy zimnej, cy gorącej, i ile, aby było w sam raz, trzeba wiedzieć, gdzie pazorem poskrobać i jak silnie, aby warzy nie ostawić, a w garcku dziury nie wygnieść. A ze ja to wszyćko znam, więc w razie jakichkolwiek chrzcin miałam w całej Psi Wólce bez cały Mięsopust okrutecne wzięcie. A i teraz jesce, chwalić Boga, od casu do casu się trafi. Bo wiadomo, ze te wszyćkie młodse matki w sam raz się pospiesyły i jesce w Mięsopusty brzdące pochrzciły, ale te starsiejse, co jem nie mogły nadązyć, nieco się pospóźniały i wszyćko se na Wielgi pust odłozyły.

Poniewaz ja się tak znam na wszyćkiem, więc tez mam w takich wypadkach wzięcie w całej Psiej Wólce, a ze przytem i rozumu mi nie brakuje, więc nie selentam w poście gicalami, jak nieprzymirzając Maciek. Wiem ja, co trzeba chlapnąć do pomyj, a co się da spozytkować, to tez na wszyćkich krzcinach pozytkuję, co mogę, a bez to urody mi nie brak nie ino w Mięsopusty, ale nawet i Wielgiem poście.

Tyś kwiatem...

Tyś kwiatem...
Lecz nie daj motylowi usiąść
lekkopióremu. Pierwej mu obciąć
skrzydeł jasne zwoje,
ażeby później ciemne płatki twoje
nie łkały bolem, tęsknotą,
że cię zostawił z sromotą,
niezmiernie ciężką, lub samo
tylko wspomnienie zostawił!...
Lecz kiedy ujrzysz wędrowca szarego.
w swej barwie, młodego
tułacza kwiatów i łąk,
to oszczędź cierpień i mąk piekielnych.
I uchyl swą główkę promienną...
On przywiązanie da zato
I wielką miłość niezmienną.

Karol Wójcik.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Palestyna IV.



Ogólny widok Betleem.

W oddaleniu siedmiu kilometrów od Jerozolimy znajduje się starożytne miasto Betleem. Obok Betleem pochował patrjarcha Jakób swoją żonę Rachel. Król Dawid pochodził z tego miasta, dlatego nazywa się miastem Dawidowem. Przepowiednia proroka Micheasza, że z Betleem wyjdzie Mesjasz, spełniła się za czasów cesarza rzymskiego Augusta, gdyż Najświętsza Marja Panna wraz z św. Józefem udała się z Nazaretu do Betleem, aby spełnic rozkaz cesarski i zapisać się w swojem mieście rodzinnem. I tu właśnie przyszedł na świat Zbawiciel świata.

Na pierwszym naszym obrazku widzimy ogólny widok Betleem tak, jak ono się dziś przedstawia. Jest to więc miasto niemałe, posiadające kilka świątyń i znaczną ilość mieszkańców. Drugi obrazek przedstawia grób Racheli, żony patrjarchy Jakóba, znajdujący się nieco dalej od miasta.

Ale wróćmy jeszcze do dawnej przeszłości. Od najpierwszej naszej młodości nazwa Betleem obijała się nam o uszy. Słuchaliśmy śpiewanych kolend i śpiewaliśmy je sami. I zapewne niejednego z nas uderzyła nielogiczność tych kolend, bo mówią one raz, że pasterze paśli owieczki, gdy się im zjawił anioł i oznajmił o narodzeniu się Pana Jezusa, to znów powiadają, że na dworze był silny mróz, a maleńkie Dzieciątko trzęsło się od zimna. Gdzieś tu więc jest nieprawda. Jeżeli był mróz, to pasterze nie mogli paść owieczek, jeżeli je zaś paśli, to nie mogło być mrozu. Gdy zwrócimy uwagę na datę Narodzenia Pana Jezusa, to skłonni jesteśmy uwierzyć w mróz, gdyż było to 25 grudnia, a więc w czasie ostrej zimy. Ale skądże wzięli się pasterze?

Sprzeczne te rzeczy łatwo wytłomaczyć. Nie ulega wątpliwości, że Pan Jezus przyszedł na świat w zimie, ale trzeba pamiętać, że Betleem leży w ciepłych krajach, więc ta zima nie była taka ostra, aby owieczki nie mogły paść się na polu. Była więc zima, lecz może nie ostrzejsza, jak u nas maj, a choćby kwiecień. Ponieważ jednak my nie rozumiemy zimy bez mrozu, więc też ci nasi praojcowie, którzy układali śpiewane przez nas przecudne kolendy, bez głębszego zastanowienia się pakowali do nich mróz siarczyty, pomieszali go z pasterzami i owieczkami, aby w sercach naszych wzbudzić większą litość dla Boskiego Maleństwa, które wśród takiej ostrej zimy musiało na sianku w stajence trząść się od zimna. I udało im się to, gdyż my, trzęsąc się sami od mrozu, współczujemy więcej z maleńkim Jezusem, aniżeli, gdyby nam powiedziano, że tam w żłóbku Panu Jezusowi było dość znośnie.



Grób Racheli, żony Jakóba.

Historja nie stwierdza całkiem dokładnie, jak wyglądało Betleem, w czasie, gdy na świat przyszedł Pan Jezus. Przypuszczać jednak należy, że jeżeli tam mieszkał patrjarcha Jakób, jeżeli stamtąd pochodził późniejszy król żydowski Dawid, że jeżeli tam szła Najświętsza Marja Panna celem dokonania spisu, to uwierzyć trzeba, iż już wówczas Betleem było niebardzo „podłem“ miastem. Zdaje się, że w czasie spisu ludności samo miasto było przepełnione przez zamożniejszych, którzy wcześniej do spisu przybyli i że Marja Panna z św. Józefem musieli się gdzieś poza ówczesnem miastem w owej szo-

pie umieścić, gdyż w samem mieście już dla nich miejsca zabrakło. Zresztą i szopa na bydło nie mogła przecież stać w środku miasta, ale gdzieś na uboczu.

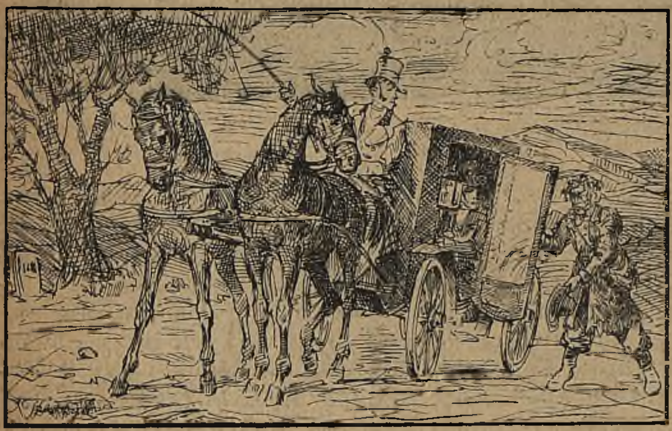
(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Juljusz skorzystał z nagłej przerwy w rozmowie, aby ukryć swe pomieszanie, a po kilku obojętnych słowach, wymienionych półgłosem z hrabiną, pożegnał się i odjechał.

Wracał do Oparek, tysiącznemi naraz zaprzątnięty myślami. Rozpamiętywając słowa hrabianki, zamiast zachwiewać, utwierdzał się tylko w przekonaniu, że ją samą, a nie kogo innego widział wtedy w ogrodzie zaklętego dworu.



...Pochwyciwszy klamkę, chrypliwym głosem przemówił...

Wśród podobnej walki myśli i rozpamiętywań nie spostrzegł Juljusz, że kiedy powóz toczył się pod mały pagórek, jakiś człowiek w łachmanach przysunął się do samych stopni powozu i pochwyciwszy jedną ręką mosiężną klamrę u boku, drugą zdjął kapelusz słomiany i niemiłym a chrypliwym przemówił głosem:

— Jaśnie wielmożny panie!

Juljusz wzdrygnął się, tak przykre głos ten sprawił na nim wrażenie.

— Kto ty? czego chcesz? — zawołał.

— Szukam prawa, jaśnie wielmożny panie! To ja, Mykita Ołańczuk.

Juljusz przypomniał sobie imię tego żołnierza, które tak ściśle łączyło się z historją starościca.

— Czego chcesz? — zawołał niechętnie.

— Nieboszczyk pan mnie pokrzywdził i ciągle dochodzę mego prawa, bom sobie przysiągł, że nie daruję, choćbym miał zdechnąć jak pies — mruknął ciszej, a w napół zezowatych oczach dzika mignęła nienawiść.

Juljusz rzucił się niecierpliwie.

— Prawuję się już od sześciu lat, jasny panie, zeszedłem na żebraka; ale to furda — ciągnął prędko eks-żołnierz. — Nieboszczyk pan umarł, to mi Kost Bulij musi zapłacić za moje, bo on mi swoją ręką w sam raz sto kijów wyliczył jak jeden, a i potem jeszcze obił mnie kilka razy.

— Ale czegoż chcesz odemnie? — krzyknął Juljusz, wybuchając gniewem.

— Jasny panie, ja postanowiłem nie darować Kostjowi i nie daruję, nie daruję choćby mnie robaki żywcem stoczyły... Dlatego też teraz mam coś meldować jasnemu panu.

— Mnie?

— Jasny panie, Kost okrada zaklęty dwór! Wysztudyrowałem go tej nocy i szedłem właśnie do dworu meldować jasnemu panu...

Juljusz żachnął się na to zaskarżenie.

— Jak to śmiesz utrzymywać! — zawołał groźnie.

— Poprzysięgnę, jasny panie, to com widział. Straciłem wszystko, prawując się i nikt mnie nie chce przyjąć w komorne. Tej nocy spałem sobie pod krzyżem, jak się skręca do Buczał, aż wtem widzę, że jakiś maziarz jedzie drogą. Myślałem, że zasnął na wozie i przysunąłem się bliżej... Ale niebawem przekonałem się, że maziarz nie śpi, bo od czasu do czasu głośno napędzał konia. Już chciałem wrócić, aż wtem patrzę, a maziarz skręca w szpaler, co prowadzi do zaklętego dworu. Ho, ho — myślę sobie! — tu się coś święci. I odżegnawszy od siebie czarta i wszystko złe, nie zważałem na stracha i co tchu pognałem na przełaj ku dworowi. Przed bramą dworu dwoje osób przechadzało się tam i nazad, jakby kogoś oczekiwało. Z początku strach mnie wziął i aż włosy stanęły mi na głowie, ale ba, patrzę i poznaję...

— Poznałeś te osoby? — wykrzyknął Juljusz, rozciekawiając się w miarę opowiadania eks-żołnierza.

— Był to, jasny panie, stary klucznik z jakąś panią.

— Panią! — zawołał Juljusz.

— Panią czy panną, nie mogłem poznać, choć się bardzo blisko zakradłem...

— Ale widziałeś przecie, jak wyglądała?

— Uważałem tylko, że miała włosy jak len.

Juljusz podrzucił się gwałtownie w swem siedzeniu, poczem sięgnąwszy ręką do kieszeni i dobywając kilka drobnych monet srebrnych, rzucił je obdartusowi i zawołał rozkazująco:

— Ani słówka o tem wszystkiem, coś widział... a jutro rano staw się do mnie do Oparek.

— Dobrze, jasny panie — odpowiedział obdartus z niskim ukłonem.

X.

Nocna schadzka.

Chata starego klucznika rozsiewała niemniejszy postrach pomiędzy ludem zabobonnym, co sam dwór zaklęty. Długoletni sługa i towarzysz nieboszczyka starościca, uchodził za jego przyjaciela i powiernika także i w pośmiertnem, zagrobowem życiu. Utrzymywano powszechnie, że nieboszczyk znosi się poufnie z klucznikiem swego osamotnionego dworu, ilekroć ukaże się z tamtego świata.

A szczególna, Kost' Bulij, jakby sam umyślnie chciał podsycać to mniemanie, osłaniał się starannie mgłą jakiejś grubej tajemnicy i niezwyczajności.

Przy tak dobrej sławie zagroda Kostja Bulija wyglądała prawie jeszcze pustszą i posępniejszą niż sam dwór zaklęty i niełatwo znalazłby się ktoś w okolicy, coby nie mówiąc już o nocy, w jasny dzień śmiał zbliżyć się do niej.

Wszakże w chwili, kiedy idąc poniewolnie za biegiem wypadków, bliższą i z nią musimy zabrać znajomość, nie zastajemy jej bynajmniej wewnątrz tak pustą i samotną, jak wyglądała.

Jest już dobrze po północy, a na przestronnem ognisku wielkiej izby, nie różniącej się niczem od zwyczajnych mieszkań chłopskich, płonie starannie podtrzymywany ogień i dość jasno całą oświeca przestrzeń. Wkoło długiego dębowego stołu, wsuniętego pomiędzy dwie drewniane ławy, siedzi rzędem wśród dymu fajek sześciu ludzi, różnych po większej części strojów i powierzchowności. Wszyscy popijają piwo ze sporych kuflów glinianych i jakąś cichą, acz żywą toczą między sobą rozmowę.

Na samym przodzie, niejako na pierwszem miejscu honorowem, siedzi żywo rozprawiając nasz dawny znajomy z ryczychowskiej karczmy, ów wędrowny maziarz, kum Dmytro.

Obok niego po jednej stronie przysłuchuje się pilnie dwóch chłopów w zwykłych płótnianych kaftanach, po drugiej wsparło się o stół dwóch jakichś odmiennych strojem ludzi. W jednym z nich poznać na pierwszy rzut oka po minie gęstej i buńczucznej, po wąsie długim i zwiesistym, po kapocie szaraczkowej z potrzebami i niezbędnej wypchanej torbie borsuczej na plecach, szlachcica chodaczkowego w całej okazałości i wszelkiemi wybitnemi znamionami charakterystycznemi. Drugi, w granatowej sukiennej, aż po kostki sięgającej kapocie, z wąsem krótko podstrzyżonym i czarnemi ofarbowanemi rękami, wygląda na małomieszczanina, garbarza z rzemiosła.

Ostatnim w rzędzie jest chmurny i ponury jak zawsze gospodarz Kost' Bulij, klucznik zaklętego dworu. Maziarz prawi z cicha, ale z pewną uroczystą powagą i silnym naciskiem:

— Wszystko musi udać się szczęśliwie, chybaby już Boga nie było na świecie! Jeśli nie sobie, to jemu możemy zaufać ślepo, on najlepiej kieruje naszymi krokami.

— To największy mocarz! — ozwał się jeden z chłopów, z tą wzniosłą powagą, jaką lud nasz tak chętnie przybiera we wszystkich ważniejszych okazjach.

Szlachcic chodaczkowy, pan Dominik Szczeczuga, herbu Zerwikaptur, z impetem pokręcił wąsa.

— Niech tylko pięść nie zawiedzie — burknął — a krocset djabłów mospanie — dodał ciszej i z zaciśniętym kułakiem młyńca wywinął w powietrzu.

— Ja się tylko zdrady boję — szepnął garbarz, małomieszczanin z Starzelic, pan Jędrzej Jurek, człek, jak wskazywała fizjognomja, wielce przezorny i oględny.

— Furda! — mruknął pan Szczeczuga — od czegoż olej we łbie, a konopie na zawołanie.

Garbarz pokiwał głową niekoniecznie uspokojony.

Maziarz wpadł na chwilę w głębokie zamyślenie.

— Dobry panie Jędrzeju — przemówił naraz — niechaj każdy boi się tylko samego siebie, a pewno do zdrady nie przyjdzie.

Następnie pochylił głowę na piersi, a po chwili podniósł się z swego siedzenia.

— Nie mam wam już nic więcej powiedzieć... Pamiętajcie tylko na waszą przysięgę... — rzekł z silnym naciskiem — i postępujcie ściśle tak, jak wam zaleciłem, a dalszych rozkazów czekajcie odemnie.

— A wyż znowu odjeżdżacie? — zapytał Szczeczuga.

— Odjadę przed świtem.

— Ale na czas powrócicie? — wtrącił Sołowij.

— Bezwątpienia.

— Pozostaje nam się tylko pożegnać.

— Zaraz! — zawołał maziarz żywo — Kostju, podaj mi pieniądze.

Kost' wyszedł do drugiej izby, a za chwilkę powrócił z czterema sporymi workami w ręku.

— Oto macie — rzekł maziarz — w każdym jest po 500 złr. cwancygierami. Uważajcie bacznie, aby zawsze dopiąć celu, a nie zwrócić uwagi... A teraz bywajcie zdrowi, wychodźcie po jednemu i zaraz z gościńca rozpierzchnijcie się na wszystkie strony.

I to mówiąc, chwycił zaraz najbliższego Szczeczugę za szyję, a potem uściskał i ucałował wszystkich kolejno.

Kost' wyszedł na dwór, aby psom nakazać milczenie. W kilka chwil maziarz sam już pozostał w chacie. Usiadł napowrót na ławie i wsparł głowę na ramieniu. Widocznie dumał i rozmyślał nad czemś głęboko.

W kilka chwil wrócił Kost' Bulij, a usunąwszy się w kąt, z pewną religijną czcią spoglądał na swego gościa.

Po chwili maziarz podniósł głowę w górę.

— Jesteś już Kostju?

Kost' wyprężył się jak żołnierz w szeregu.

— Jestem kumie — odpowiedział.

— Z Oparek nie dowiedziałeś się nic nowego?...

— Wiem tylko, że pan jeździł wczoraj do Orkizowa.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jakto Jacentową wyleczono.

(Dramat opowiedziany na wesoło.)

— Kto nie ma kłopotu, niech się ożeni! — mruczał pod nosem Jacenty, wydobywając z pod ławy brudne garnki i biorąc się do ich szurowania.

Na łóżku obok komina wyciągała się wygodnie pod pierzyną Jacentowa i śmiejąc się zalotnie, łagodziła zirytowanego chłopa:

— A pamiętasz Jacuniu, jakoś to cztery roków temu inaczej do mnie gadał: Powiadałeś, że bez baby pusta chałupa i nijak ci żyć tak samemu.

— Powiadałem, powiadałem, bo głupi byłem i nie wiedziałem, że baba a baab, to wielkie dwie rzeczy do siebie niepodobne. Ot, naprzykład i za moi nieboszczki wszystko było inaczej — i ładnie i składnie, a dziś co? Dzieciska brudne, garnczki trzy dni stoją pod ławą nieumyte, śniadanie nieugotowane... Oj, żeby to już raz biesi wzięli taką gospodarkę! — zawołał chłop szczerze zmartwiony. Przy ostatnich też słowach cisnął o ziemię wyszczerbioną miskę, która z brzękiem rozleciała się na drobne cząsteczki.

Teraz twarz Jacentowej przybrała inną minę; zaczęła się kurczyć i drgać, niby do płaczu, a z ust popłynęły słowa pełne lamentu:

— Oj biednaż, ja biedna! Ani mi spocząć wolno uczciwie, ani się przechorować w łóżku spokojnie, ani mieć odrobinę własnej woli. Oj, dolaż moja dolo!

Jacenty słysząc lament ukochanej Ewki, przybliżył się do łóżka z pochyloną głową i obcierając pot z czoła brudnym rękawem, zaczął przepraszać i perswadować, zaklinając się na wszystko, że od tej pory

pokornym będzie, jak baranek. Po małej chwili Ewka się uspokoiła i wspaniałomyślnie przebaczyła chłopu winę, a nawet pozwoliła się na zgodę pocałować, co Jacenty skwapliwie spełnił.

Bez dalszego już więc narzekania poszurował garnki, uwarzył strawy, a nakarmiwszy dzieci, zaczął namawiać Ewkę, ażeby wraz z nim spożyła śniadanie. Ale Ewka tym razem odmówiła, narzekając, że naprawdę jest słaba i jeść jej się nie chce. Zjadł więc Jacenty pospiesznie sam trochę strawy i pożegnawszy się wyszedł do swoich gospodarczych zajęć. Tymczasem Ewka poleżawszy jeszcze chwilę, zaczęła się leniwie przeciągać i wolno ubierać. Zarzuciwszy na siebie brudną kiechę i przemywszy nieco oczy, zabrała się z apetytem do gotowego śniadania, pozostawiwszy za sobą łóżko niezasłane.

Po chwili wpadła sąsiadka Walentowa, a za nią druga i trzecia, dopytując się o nowinki i wzajem opowiadając, co się gdzie stało nowego. Długi czas rajcowano nad grzechami całej wsi, siebie oczywiście rozgrzeszając z wszelkich win, a drugim natomiast zarzucając ciężkie ich brzemię. Aż wreszcie zeszła rozmowa do osobistych spraw Jacentowej.

— No i jak tam wasze zdrowie? — dopytywała się Walentowa. — Widzę, że coś niczego wyglądacie!

— Ojoj! źle ze mną i tyla! — odparła Ewka, krzywiąc się i postękując. — Boli na wnętrzu i nijak ustąpić nie chce.

— A byliście to, jak wam radziłam, u tego znachora z Psiej Wólki? — dopytywała się ciekawie Wałkowa.

— A ino! Dokumentnie, jakeście powiedzieli: wzięłam z sobą flachę wódki, trochę grosiwa w kieszeń i pojechałam. Ale tylo mam ino z tego, że kosztowało mnie ze trzydzieści złotówek, a na zdrowiu nic nie pomogło.

— Nie pomogło? Hm, to źle! A możeby wam tak pomogła stara Sawulina, wiecie, ta, co to mieszka na Wilczym majdanie, pod lasem. Ta ci nietylko, że wyleczy, ale i powróży pięknie i powie, co wam dolega na sercu. Powie też, czy was chłop nie zdradza, albo, jak lubczyk przyprawić, żeby ściągnąć do siebie czyjeś kochanie.

— Ojej! — zawołała ożywiona Ewka. — To, jak mi się zdaje, wypadnie mi pójść corychlej do tej Sawuliny. I jak tylko mój chłop przyjdzie od roboty, to duchem pobiegnę do niej. Ale wiecie co Rafałowo — zagadnęła nieco zmieszana Ewka, zwracając się do innej sąsiadki. — Nie poszedłby to ze mną wasz brat Jasiek? — bo samej jakoś markotno będzie iść, aż pod las.

— Jasiek? Ojej, czemu nie! — pójdzie napewno z wami — odparła trochę drwiąco Rafałowa.

Stanęło więc na tem, że dnia tego wieczorem pójdzie Jacentowa z Jaśkiem na Wilczy majdan po leki na ową chorobę, której nijak nie umiała określić, a która upoważniała ją do długiego w łóżku leżenia, jakoteż i do ciągłego próżnowania.

Jacenty wprawdzie charował za dwoje, ale to nic nie pomagało i w chałupie panował wieczny nieład. Bo też jak baba ręce opuści i niedba o porządek, to choćby chłop je odrobił po same łokcie, to i tak nic nie pomoże, gdyż ład i porządek domowy należy do gospodyni: A szczególnie już, gdy są dzieci; kobieta winna pamiętać o ich czystości i wychowaniu, zapominając często i swoich dolegliwości.

Ale Jacentowa daleka była od podobnego postępowania. Stękając wiecznie narzekała, że ją Pan Bóg pokarał i zesłał jej dzieci, przy których nie ma, ani chwili wypoczynku, ani nijakiej swobody. Zostawiała ich też często bez opieki, a sama szła do sąsiadek na długie pogawędki, zapominając o obowiązkach matki i żony.

Nic też dziwnego, że Jacenty choć chłop cierpliwy zemścił często i narzekał, widząc niedbałość i lenistwo żony. Bo też niema gorszej klęski dla chłopa, jak ta, gdy baba się rozleni, a na dodatek wmówi w siebie chorobę. Wtenczas bij zabij nic nie pomoże, baba będzie chorować i kwita! Tak było i z Jacentową; wmówiła w siebie, że jest chorą i myślała jedynie o tej słabości, radząc się wszystkich bab i znachorów i tracąc na to wiele grosza. Toteż i dnia tego, skoro tylko Jacenty wrócił z pola, poleciła mu pilnować dom i dzieci, a sama z Jaśkiem, młodym, szwarnym parobczakiem, do którego czuła oddawna sentymenty, poszła przez mały zielony zagajnik do starej chaty stojącej na skraju lasu. Sawulina, gdy zobaczyła Ewkę z Jaśkiem, zatarła ręce z radości i dalejże im gadać, a gadać. Porozkładała zatłuszczone karty, w których wiele rzeczy wyczytywać zaczęła: A najpierw to, że Jacentowa będzie zdrową, jeno potrzeba jej więcej wesołości i rozrywki, czego oczywiście mieć nie może przy starym i gderliwym mężu. Ewka słuchając, rumieniła się zadowolona i przyświadczała babie, że mówi wszystko prawdę.

Nagadawszy się też do woli z Sawuliną zapłaciła Ewka kilka złotych za dobrą poradę, pożegnała się i wyszła z Jaśkiem, dążąc z powrotem do domu. Ale teraz wieczór już zapadł zupełny. W zielonym lesie przyśpiewywały radośnie słowiki, a z woniejących drzew płynął słodki zapach rozgrzanej żywicy.

Ewka idąc pod rękę z Jaśkiem ociągała się, ażeby jak najdłużej nie wychodzić z uroczego lasku. A że Jaśkowi się też nie spieszyło, więc szli wolno, przytuleni do siebie, upojeni i szczęśliwi.

— Usiądźmy trochę, — zaproponowała Ewka — nic nam przecież pilnego. Jasiek oczywiście zgodził się chętnie na propozycję i śmiejąc się usiedli pod rozkołysaną sosną. Zajęci jednak sobą nie zauważyli ludzkiego cienia, który się za niemi posuwał i przystanął tuż za drzewem. Usiadłszy, zapomnieli o całym świecie, pochłonięci własnem swojem kochaniem, które nagle oboje ku sobie poczuli.

— Jaśku! — zagadnęła znów Ewka. — Czyś słyszał co Sawulina gadała, że będę zdrową, potrzeba mi jeno trochę rozrywki. A kajże ja ją mam ze starym mężem, gderliwym i nielubianym?

— Ta, ta! potakiwał Jasiek i przygarnął Ewkę silnem ramieniem ku sobie.

— Ojej, Jasiek! ojej! — drożyła się Ewka, wtulona w silne ramiona chłopaka.

A wtem nagle coś nad niemi zaszeleściło i runęło ciężką gałęzią na plecy rozmiłowanej w sobie pary. Jasiek zerwał się pierwszy i widząc, co się święci czmychnął w las, nie oglądając się za siebie. Na miejscu pozostała przestraszona Ewka, spotkawszy się oko w oko ze stojącym tuż mężem.

— A dam ja ci teraz leki — wołał rozłoszczony chłop, okładając grubą gałęzią i pędząc przed sobą niewierną żonę, która zapomniawszy o chorobie i o Jaśku, leciała co tchu ku chałupie.

A chłop bił, a bił, aż szumiało w całym lesie, wypędzając amory z głowy, a z wnętrza urojoną chorobę.

I tylko naokół dziwiły się słowiki tej niebywałej leśnej sielance, a w gąszczy drzew śmiał się ukryty

chochoł, nucąc i przygrywając na wierzbowej fujarce taką piosenkę:

Miałaś tłusty połć słoniny, miałaś chleb i miodny ul,
Ale z twojej babo winy został w duszy jeno ból.
Miałaś babo złote gody, miałaś babo długo bal...
Aż ulotnił się pan młody i został ci tylko żal.

Wysmarowana dobrze sosnową gałęzią, od tej pory Jacentowa była zdrową i zapomniała raz na zawsze o wszelkiej chorobie.

K. Ł. Łza.

Poradnik gospodarczy.

Przypomnienia pszczelarskie na kwiecień.

Pszczółki tego roku ładnie nam przezimowały. Wskutek łagodnej temperatury nie zjadły wiele miodu, a i muchy niewiele spadło na dno ula. Oblot nastąpił wczas, a było kilka dni w marcu tak ciepłych, że pszczółki mogły sobie znieść nieco pyłku z najpierwszych kwiatów wiosny. Niedoświadczony pasiecznik cieszy się, że już wszelkie niebezpieczeństwo minęło i czeka tylko lata, aby odbierać od swych wychowanek słodkie zapasy.

A przecież tak nie jest. Wiosenne miesiące, a więc i kwiecień są dla pszczół najniebezpieczniejsze, gdyż najwięcej w tym czasie pni pada z głodu. Ale dzieje się to niemal zawsze z winy pasiecznika. Jak wiadomo, matka pszczela zaczyna czerwić już w lutym; czerwienie to potęguje się w marcu, kiedy to matka składa już do 2.000 jajek, a do znacznej potęgi dochodzi w kwietniu (około 10.000 jajek). Można sobie wyobrazić, ile to pożywienia potrzebują pszczółki dla tej młodej czeredy, a tu tymczasem „kwiecień plecień“, w którym z pola niewiele jeszcze znieść mogą.

Toteż dbały pasiecznik o swą pasiekę troszczy się pilnie, aby im w tym najważniejszym, a najtrudniejszym dla nich okresie, nie brakło pożywienia. W dzień ciepły zbada więc ule, czy jest w nich podostatkiem pożywienia, a jeżeli się przekona, że go tam zbyt mało (powinno być około 6 kilo miodu), to natychmiast pień zasili w żywność, dając kilka kilo syropu, zrobionego z cukru w stosunku 1 kilo cukru na pół lub jeden litr wody. Najpraktyczniej syrop ten ponalewać wprost do plastrów i wstawić je w ramkach tuż koło gniazda w ulu. Jeżeliby zapasowych ramek nie było, to syrop można wstawić na dno ula w jakiemś naczyniu, by się zaś pszczółki nie topiły, trzeba dać na wierzch syropu warstwę grubej sieczki. Karmienie powinno następować pod wieczór, aby w dzień nie zwabiać do ula rabusiów. Nie żałować pszczołom cukru, gdyż one go do karczmy nie wyniosą, a za każdy kilogram dany im z wiosną, oddadzą w lecie kilka kilo miodu.

W kwietniu należy dwa i trzy razy pszczoły podmiatać, aby w ulu było czyściutko i by nie dopuścić do rozmnożenia się motylicy. Wszak w tym czasie choć już wiele pszczół przybywa, ale wiele ich też i ginie, spadając na dno ula. Ponadto pszczoły czyszczą plastry, a choć są one czyściutkiemi stworzonkami, to przecież nie zdołają tak szybko wszystkiego usunąć z swego mieszkania. Wszystko to spada na dno ula, gdzie tworzy warstwę mieczystości, a w tej lęgnie się dziesiątki gąsienic motylicy, które później przedostają się do plastrów i niszczą je.

Wielkiem niebezpieczeństwem dla pasieki są w kwietniu bądź własne, bądź cudze pszczoły. Jak zaznaczyliśmy, potrzebują one w tym czasie bardzo dużo pożywienia, a nie znajdując go na kwiatach, szukają, gdzie mogą. Nie ujdzie ich uwagi, że tam w sąsiednim ulu ta pożądana zdobycz się znajduje. Nie znają atoli dziesięciorga Boskich przykazań i nie wiedzą, że siódme z nich powiada: „Nie kradnij!“ Miód sąsiadek nęci je. Jedna i druga próbuje się tam dostać. Silne pszczoły nie pozwolą na to, gdyż zaraz u wylotu ula przyłapują napastniczkę, włóczą ją po powierzchni ula i zabijają, lub odpędzają. Ale gdy się w pasiece znajdzie pień bezmatek, lub pień tak słaby, że przed napaścią obronić się nie może, wdziera się do wnętrza jedna i druga napastniczka, obsysa się słodkim nektarem, zwabia inne i nieraz w ciągu jednego dnia niszczy cały pień, zabierając z niego wszystko, co się da zabrać.

Zniszczenie pnia słabego lub bezmatka nie byłoby jeszcze tragedją, ale pszczoły, przyzwyczajone do rabunku, rzucają się wówczas gromadnie na pnie inne i nieraz mimo heroicznej obrony również je niszczą.

Aby do rabunku nie dopuścić, powinien pasiecznik w każdy dzień pogodny nadzorować pilnie swą pasiekę i jeżeli zauważy napad na któryś ul, powinien natychmiast mu zapobiec. Jeżeli napad jest na bezmatek, to najlepiej pień taki zaraz wieczorem skasować, łącząc pszczoły z bezmatka z jakimś słabszem rojem. Gdy napad jest na pień słaby, również byłoby najlepiej taki pień skasować, a pszczołami z niego zasilić inny niezbyt silny pień. Jeżeli zaś napadany pień jest silniejszy i chcemy go od zagłady ocalić, to należy zwęzić oczko tak, aby przez nie tylko jedna pszczoła przecisnąć się mogła. Napadnięte, mając małą przestrzeń do obrony, łatwiej sobie dadzą radę z napastnikami. Dobrze jest na wylot postawić ukośnie mały kawałek szkła, natrzeć wylot i mostek chrzanem lub cebulą, co odstrasza w dużej mierze napastujące rabuśnice.

W kwietniu oprócz podkarmienia obfitego pni, mających małe zapasy miodu, dobrze jest podkarmiać pszczoły spekulacyjnie. W tym celu poddaje się im co drugi dzień rzadkiego syropu, a właściwie słodkiej wody w stosunku 1 kilo cukru na dwa litry wody. Pszczoły spijają to chętnie i znoszą do plastrów. Matka, myśląc, że na polu jest pożytek, czerwi silnie, wskutek czego pień wzrasta szybko w siłę, a na czas największego pożytku w polu posiada taką siłę, że w niedługim czasie cały ul zapełni miodem.

Poradnik lekarski.

Ostry katar oskrzeli. Choroba ta zwana inaczej bronchitis jest kataralnem zapaleniem błony, wyścielającej drogi oddechowe. Występuje najczęściej po katarze nosa, zwykle z powodu zaziębienia, przy nagłej zmianie temperatury; nadto w odrze, ospie, tyfusie, chorobach płuc i serca. Objawy: dreszcze, kaszel, ból pod mostkiem, duszność i ciężkość w piersiach, kaszel, z początku suchy, potem flegmisty, ból głowy, brak apetytu; w silnem: gorączka, duszność. U osób starszych nie powoduje większego niebezpieczeństwa, u niemowląt rychło następuje zatkanie najdrobniejszych oskrzelików i duszność.

Leczenie: Piersi smarować tłuszczem, np. łojem kozłowym, robić okłady z ziół, pić herbatkę z podbiału i krwawnika. W razie potrzeby suche bańki. W męczącym kaszlu, pić herbatkę z ślazu, kwiatów maku polnego, osłodzoną lukrecją.

KRONIKA.

Przesilenie rządowe w Polsce. Po podaniu się gabinetu prof. Bartla do dymisji Pan Prezydent polecił, jak to zaznaczyliśmy w poprzednim numerze „Roli“, utworzenie nowego rządu marszałkowi Senatu prof. Szymańskiemu. Prof. Szymański prowadził pertraktacje z przywódcami stronnictw, w czasie których okazało się, że opozycja żąda, aby w Polsce powróciło wszystko do stanu, jaki był przed przewrotem majowym 1926 roku. Nadto opozycja zażądała, aby Marszałek Piłsudski do nowego rządu nie należał. Na warunki te prof. Szymański zgodzić się nie chciał, wskutek czego zrzekł się tworzenia rządu. Wobec tego misję tę Pan Prezydent powierzył posłowi Janowi Piłsudskiemu, człowiekowi umiarkowanemu, o którym nawet gazety opozycyjne pisały jak najlepiej. Zdawało się, że posłowi Piłsudskiemu uda się utworzyć rząd, który mógłby pracować razem z sejmem dla dobra kraju. Ale i usiłowania posła Piłsudskiego spełzły na niczem i w sobotę po południu poseł Piłsudski złożył swoją misję w ręce Pana Prezydenta, który utworzenie rządu powierzył prezesowi Bezpartyjnego Bloku współpracy z rządem posłowi Waleremu Sławkowi, który też rząd utworzył. Zdaje się, że rząd ten nie będzie się wdawał w żadne układy z opozycją, gdyż zaproponował Panu Prezydentowi zamknięcie sejmu, a następnie zdaje się zaproponuje rozwiązanie go i rozpisanie nowych wyborów. Gdyby przyszłe wybory odbyły się na podstawie obecnej ordynacji, zapewne skład sejmu nie wieleby się zmienił, wobec tego należy przypuszczać, że przed wyborami zostanie ogłoszona nowa ordynacja wyborcza. — Do gabinetu p. Sławka weszli wszyscy dawni ministrowie z wyjątkiem prof. Bartla i min. Dutkiewicza, w którego miejsce wszedł b. minister Car.

Podwójne małżeństwa. Ze Szczurowej w powiecie brzeskim piszą nam, że zamieszkała tam Marja Gut otrzymała list od syna swego Ludwika, zabranego do niewoli rosyjskiej w 1915, a od roku 1917 nie dającego o sobie żadnego znaku życia. Matka i żona jego miały go już dawno za straconego. W miejscowym kościele odbyły się za niego nabożeństwa żałobne, a obecnie władze sądowe uznały go urzędownie za zmarłego. Żona Ludwika, jako wdowa, miała zaraz po poście wyjść za mąż, do czego spieszyło się jej tembardziej, że jako dorobek powojenny posiadała z swym narzeczonym już dwoje dzieci. Aż tu niespodziewanie przed kilku dniami nadchodzi od rzekomego nieboszczyka list z datą 27 lutego b. r., w którym ten prosi matkę o przysłanie mu metryki, gdyż chciałby wraz z swoją obecną żoną i trojgiem dziatek powrócić do Polski. I oto znów nowa tragedja powojenna. Jak ułoży się przyszłe życie tych czworga ludzi, gdy spotkają się razem? A najbiedniejsze z nich wszystkich to te dzieci, które nic nie zawiniły, a cierpieć będą musiały może jeszcze więcej, aniżeli ich rodzice.

Zabójstwo na wozie. W ubiegłym tygodniu wieczorem pod Samborem zostało dokonane zabójstwo wśród niezwykłych okoliczności. Oto wozem z Sambora wracał do domu Jan Kardasz, wójt gminy Kulczyce Rustykalne. Razem z nim jechali dwaj asesorowie gminni Moroz i Woronczak. Wszyscy oni byli podchmieleni, gdyż w ciągu dnia w Samborze dokonali jakiejś transakcji gminnej. Z tej transakcji jednak nie był zadowolony Moroz, skutkiem czego na wozie przyszło do utarczki słownej, po której towarzysze jazdy pobili Moroza śmiertelnie po głowie flaszkami z piwem. Następnie chcąc upozorować napad bandytów, zacięli konie i wołali o pomoc. Przywieziony przed chatę Moroz zakończył życie. Sprawą tą zajęła się policja, poczem aresztowała sprawców zabójstwa.

Napad rabunkowy. Na przechodzącego drogą polną opodal Drohobycza niejakiego Leśkowa napadła jakaś banda opryszków, którzy ubezwładniwszy napadniętego, wyjęli mu z pod cholewy buta jeden banknot 100 złotowy. Trzęsącemu się ze strachu Leśkowi oświadczyli następnie, by się nie odważył zawiadomić o tem policji, poczem zbiegli. Ochłonąwszy ze strachu, Leśków nie uląkł się gróźb bandytów i doniósł o fakcie władzom policyjnym, które ujawniły sprawców. Są nimi: Piotr Kihiczak, Michał Tytykajło i Stanisław Olekrzciak. Wszystkich aresztowano i oddano władzom sądowym w Drohobyczu.

Warszawski Kuba-Rozpruwacz. Policja warszawska dostała w swe ręce zwyrodniałego osobnika, który, pozazdrościwszy laurów słynnemu „Kubie-rozpruwaczowi“, zaczął naśladować jego haniebne praktyki w Warszawie. Pierwszy jego występ pociągnął za sobą dwie ofiary w jednym i tym samym dniu. W obu wypadkach napadnięci otrzymali cios nożem w brzuch, tak, że ranionym wypadły jelita. Lekarze, badając obu rannych, stwierdzili, że rany są zadane jedną i tą samą ręką. Policja wdrożyła energiczne dochodzenie. W wyniku śledztwa aresztowano 20-letniego Bolesława Jarkiewicza, a gdy go skonfrontowano w szpitalu z obu rannymi, poznali oni w aresztowanym sprawcę napadów. Stwierdzili przytem, że Jarkiewicza nie znali i zupełnie nie rozumieją powodów, dla których na nich napadł z nożem. Jarkiewicz także nie umiał zupełnie podać motywów swego czynu. Policja jest zdania, iż jest to zwyrodniały osobnik, któremu sprawia rozkosz mordowanie i widok krwi swych ofiar, Jarkiewicza osadzono w więzieniu. Będzie on przedewszystkiem poddany zbadaniu przez lekarzy psychjatrów.

Napad bandytów na tramwaj. W ubiegłym tygodniu wieczorem w Katowicach 6 uzbrojonych bandytów dokonało napadu rabunkowego na wóz tramwajowy, kursujący między Katowicami a Siemianowicami. Dwaj bandyci wskoczyli na platformę i steroryzowali motorowego, zmuszając go do zatrzymania tramwaju. Jeden z opryszków usiłował wyrwać konduktorowi torbę z pieniądzmi, pozostali zaś rzucili się na pasażerów. Tutaj jednak napastnicy natrafili na zdecydowany opór. Kilku pasażerów zagroziło bandytom rewolwerami. Na widok wymierzonych w swoją stronę luf, bandyci zbiegli. Ofiarą napadu padł jedynie konduktor, którego już w czasie ucieczki bandyci ciężko zranili. Zarządzono natychmiast pościg i czterech opryszków ujęto.

Pies z ładunkiem dynamitu. We wsi Wola na Śląsku, wydarzył się niezwykły wypadek. Robotnik Maleszek, chcąc pozbyć się swego starego i złośliwego psa, wyprowadził go na łąkę, przywiązał do drzewa, poczem podpalił lont przy przymocowanym do smyczy ładynku dynamitu. Uczyniwszy to, począł się biegiem oddalać. Tymczasem pies, czując instynktem niebezpieczeństwo, zerwał się ze sznurka i podążył za swoim panem wraz z ładunkiem dynamitu. Pod koniec śmiertelnej gonitwy, kiedy pies znajdował się już w pobliżu swego pana, dynamit wybuchł, rozrywając zwierzę w kawałki. Uciekający zaś robotnik został poraniony. Przewieziono go do szpitala.

Pod władzą hypnotyzera. Niektórzy ludzie posiadają taką władzę hypnotyczną, że zapomocą niej potrafią narzucić swą wolę innym ludziom. Podobny wypadek zdarzył się obecnie w Bydgoszczy. Takim hypnotyzerem okazał się niejaki Apolinary Dąbrowski, ale tę swoją zdolność wyzyskał w kierunku zbrodniczym. Oto wskutek tej zdolności nakazał on pewnej 17-letniej pa-

nience, aby mu była we wszystkiem posłuszną. Biedne dziewczę pod jego wpływem hypnotycznem straciło wszelką odporność woli i było mu posłuszne. Spostrzegli to rodzice panienki i zabrali ją do lekarza celem zbadania. Ale w drodze między mieszkaniem rodziców a lekarza panienka nagle ogłuchła i zaniemówiła. Ponieważ dziewczyna nie mogła odpowiadać na pytania, więc podsunięto jej papier i ołówek. Zaledwie jednak skreśliła pierwsze parę wierszy, ramię jej zdrętwiało, a ołówek wypadł z ręki. Lekarz stanął wobec takiego faktu bezsilny. Władze postanowiły Dąbrowskiego skonfrontować z ową panienką, której nie uprzedzono o tem. Kiedy jednak Dąbrowski zjawił się w sąsiednim pokoju, dziewczyna poczęła krzyczeć przeraźliwie, drżeć na całem ciele i chować głowę pod poduszki. Obecny lekarz postanowił zasugestjonować nieszczęśliwą. Istotnie wykonał kilka odpowiednich ruchów, powtarzając: „Ocknij się! Usiądź i mów!" Po długiej walce z lękiem dziewczyna wykrztusiła: „Odpędźcie go! On tu jest niedaleko i zmusza mnie do milczenia!" Za chwilę w sąsiednim pokoju odezwał się łoskot: to bracia panienki rzucili się na Dąbrowskiego i sprawili mu porządne „lanie". Dąbrowski przyznaje się do uwiedzenia panienki, ale zaprzecza, jakoby używał do usidłania jej hypnotyzmu.

Obrabowanie banku w Berlinie. W jednym z banków berlińskich dokonano niezwykle śmiałego napadu rabunkowego. Do urzędniczki jednej z fabryk, pracującej przy okienku kantoru, gdzie wypłacała większą sumę pieniędzy, zbliżył się nieznany osobnik, który wyrwał jej z rąk tekę z pieniądzmi. Ostrzeliwując się przed ścigającymi go urzędnikami bankowymi, bandyta wybiegł z kantoru i wskoczył do oczekującego go na ulicy samochodu. W ślad za napastnikiem podążył jeden z urzędników bankowych, któremu w ostatniej chwili udało się wyrwać tekę z pieniądzmi z rąk napastnika. Dwóch pozostałych bandytów, znajdujących się w samochodzie, dało kilka strzałów. Pewna ilość banknotów w czasie szamotania się z napastnikami wypadła z teki, rozsypując się po ulicy. Bandytom udało się zbiec samochodem.

Atrament do „odświeżania" mięsa. Wiadomo, że surowe mięso, przechowywane w stanie siekanym, już po kilku godzinach traci kolor i nabiera bardzo nieapetycznego wyglądu. Szarawy kolor mięsa jest w tym wypadku niejako ostrzeżeniem, że jest ono nieświeże. Otóż Niemcy wynaleźli środek, który nadaje starej siekaninie piękny wygląd i wszelkie pozory świeżości. Jest to rodzaj atramentu, o dźwięcznie brzmiącej nazwie „Routalin Rouge", który w sklepach rzeźnickich znajduje szerokie zastosowanie, jest jednak zakazany przez władze sanitarne w Niemczech, jako szkodliwy dla zdrowia. Nie przeszkadza to jednak, że pokątne fabryki tego środka eksportują go zagranicę i nie jest wykluczone, że również w Polsce środek ten przez nieuczciwych rzeźników jest stosowany.

372.800 samobójców rocznie. W Niemczech ukazała się ostatnio ciekawa książka, która w świetle dokładnej statystyki samobójstw z całego świata omawia zagadnienie masowej ucieczki ludzi od życia. Jak się okazuje, co roku na każdy miljon ludności w Niemczech popełnia samobójstwo 200 osób. W maleńkiej i zamożnej Danji 244, w Szwajcarji 225, we Francji 222. Na każdy miljon ludności świata wypada przeciętnie 200 samobójców rocznie, przy 1864 miljonach ludności całego świata daje to olbrzymią liczbę 372.800 desperatów.

Napad jelenia na kobietę. Zuchwałość jeleni w niemieckim Czarnym lesie daje się okolicznej ludności dotkliwie we znaki. Napady te często też notują gazety niemieckie. W tych dniach znów na tamtejszą włościankę, która opodal domu wyszła do roboty polnej, napadł okazały jeleń i rogami ciężko ją poturbował.



Napad ten włościanka możeby na miejscu życiem przepłaciła, gdyby na jej krzyk nie nadbiegł jej pies, który momentalnie rzucił się na jelenia, a uczepiwszy się mu mocno u szyji, kawał w las z nim pogonił. Poturbowaną włościankę odwieziono do szpitala.

Nagłe odzyskanie mowy. Przed sześciu tygodniami przybył do pewnej wsi węgierskiej jakiś niemowa, któremu włościanka Szechenyi dała schronienie w swym domu. Nieznajomy robił wrażenie człowieka chorego a sprowadzony lekarz stwierdził u niego zapalenie płuc. Przez długi czas chory leżał w ciągłem jakby uśpieniu, odmawiał przyjmowania pokarmów i odnosił się z bezwzględną obojętnością do wszystkich i wszystkiego. Gdy gospodyni przed paru dniami zauważyła, iż stan chorego pogorszył się, posłała po miejscowego proboszcza. Na widok kapłana niemowa jakby zbudził się z długiego snu i ku zdumieniu wszystkich wypowiedział słowa: „Mój B.że, ja mogę mówić!" Lekarz, przywołany natychmiast do chorego, stwierdził, iż niemowa, z którego ust przez 13 lat nie wyszło żadne wyraźne słowo, odzyskał nagle mowę wskutek silnej gorączki. Opanowawszy się po pierwszem radosnem wzruszeniu, chory opowiedział kilka szczegółów ze swego życia. Oświadczył, że ma lat 33, nazywa się Michał Stefko. Podczas wojny światowej, gdy w roku 1917 znajdował się na froncie bukowińskim, dostał nagle choroby nerwowej, wskutek której stracił słuch i mowę. Gdy następnie jako inwalida wyszedł ze szpitala i powrócił do wsi rodzinnej, rodziców swych nie zastał przy życiu. Jako kaleka chwycił za kij żebraczy i utrzymywał się dotąd z jałmużny. Wszystkich tych informacyj udzielał Stefko z pewną trudnością, ale lekarz nie wątpi, że biedak z czasem odzyska zupełnie poprawną wymowę.

Umiał skorzystać ze sposobności. Król belgijski, Albert, lubi w wolnych chwilach uprawiać zawód maszynisty kolejowego. Czyni to przedewszystkiem wówczas, gdy mu wypadnie jechać w dalszą drogę koleją. Nie zaniedbał tego zamiłowania, kiedy ostatnio jechał na uroczystości ślubne włoskiego następcy tronu do Rzymu. W czasie podróży król wsiadł na lokomotywę pociągu włoskiego i prowadził ją przez czas dłuższy. Maszynista pociągu tego, Sastelli, skorzystał ze sposobności, aby opowiedzieć zastępującemu go królowi o ojcu swoim, liczącym obecnie 76 lat, a skazanym przed 34 laty na dożywotnie więzienie za morderstwo, popełnione w akcie miłosnym, dodając, że stary Sastelli dotychczas siedzi w więzieniu. Król Albert, usłyszawszy to opowiadanie, obiecał maszyniście, że pomówi o jego ojcu z królem Wiktorem Emanuelem. I musiał dotrzymać obietnicy, w tych dniach bowiem dowiedział się maszynista włoski, że ojcu jego darowano resztę kary.

Premjowanie potomstwa we Francji. Jeśli gdzie, to właśnie we Francji, posiadającej minimalny

przyrost naturalny, uzasadnione jest premjowanie licznego potomstwa, albowiem doświadczenie wykazało, że perspektywa nagrody pieniężnej dla niejednego małżeństwa bywa zbyt silną podnietą, by skutki dały zbyt długo na siebie czekać. Doskonałym tego dowodem jest zarządzany przez Akademję francuską legat małżonków Cognac, z którego corocznie wypłacane są dość pokaźne premje dla małżeństw, mogących wykazać się rzetelną dbałością o przyrost naturalny. Akademja z tego legatu przyznała już 90 premij po 25.000 franków oraz znaczną ilość premij po 10.000 franków. Że premje te rozdawane były naprawdę „dobrze zasłużonym", o tem dostatecznie świadczy fakt, że w liczbie „laureatów" znajdowało się jedno małżeństwo posiadające 15 ro dzieci, siedm z 14-giem dzieci i aż dwadzieścia pięć par małżeńskich, mogących się pochwalić okrągłym tuzinem dziatwy.

Filiżanka herbaty za tysiąc franków. W niedzielę 23 marca b. r., w pałacu księżnej Vendome w Cannes odbyło się zebranie towarzyskie na rzecz powodzian w południowej Francji. Za każdą filiżankę herbaty, podawanej na ten zebraniu, pobierano opłatę w kwocie tysiąca franków. Podawali herbatę: b. król portugalski Manuel, królowa Wiktorja, książę Connaught, książę Mikołaj grecki, oraz szereg innych członków rodzin panujących.

Wyjazd kolonistów do Peru. Tradycyjny kierunek polskiego wychodźtwa do Argentyny i Brazylji nie jest dziś aktualny, a to z tego powodu, że w krajach tych ziemi się darmo nie rozdaje, a o pracę zarobkową coraz trudniej. Zaistniała więc potrzeba wynajdywania nowych terenów emigracyjnych odpowiednich nietylko pod względem klimatycznym, ale i ekonomicznym. Powstała przed rokiem jedyna w swoim rodzaju w Polsce kooperatywa osadnicza pod nazwą „Kolonja Polska" znalazła taki teren w Peru, w prowincji Loreto, nad rzeką Ucayali, gdzie tropikalny klimat jest łagodzony przez chłodzący wpływ potężnych gór And. Teren ten został zbadany przez komisję rządową polską, a rząd peruwjański udzieiił koncesji na osadzenie 1.000 rodzin polskich z bezpłatnym przydziałem dla każdej rodziny na 30 hektarów. W tych dniach odjechała z Warszawy na Ucayalę pierwsza grupa osadników złożona z 12 osób. Prócz dwóch rodzin włościańskich należy do niej kilku osadników inteligentów fachowców (inżynier z żoną, miernik, lekarz), a więc ludzie, których wskazówki i pomoc fachowa ogromnie się przydadzą a inicjatywa zapewni szybki rozwój kolonji. Tak zorganizowana i rzucona na pierwszy ogień garstka dzielnych Polaków postawi pierwszy krok na obcej ziemi i przygotuje grunt dla następnej partji, już liczniejszej.

Gimnazjum polskie w Charbinie. Od paru lat istnieje w Charbinie, w Chinach, gimnazjum polskie im. Henryka Sienkiewicza. Gimnazjum to rozwija się stale i uzyskało od naszego ministerstwa oświaty dla swych wychowanków prawo wstępu do uniwersytetów w Polsce. Przy gimnazjum istnieje Koło Polonistów, które wydaje pismo ścienne dla kolegów „Dwutygodnik". Ostatnio uruchomiono w gimnazjum wieczorowe kursa języków angielskiego i chińskiego, oraz stenografji, buchalterji i pisania na maszynie. W bieżącym roku szkolnym do gimnazjum wprowadzony został, jako obowiązkowy przedmiot nauczania, język chiński, który obecnie wykładany jest w klasach 2, 3, 4 i 5 tej w liczbie 15 godzin tygodniowo we wszystkich klasach. Nauczycielem jest Chińczyk.

Ojciec czterdziestu dzieci. W miejscowości Macon w Północnej Ameryce żyje poczciwy gospodarz, który jest ojcem czterdziestu dzieci. Nie tyle to może jego zasługa, co jego dwóch żon, jakiemi go niebiosa obdarzyły. Szczęśliwy ojciec, John Busley liczy dziś 71 lat życia. Już jako 18-letni młodzieniec rozpoczął on swoją pracowitą karjerę, to jest ożenił się, poślubiając 16-letnią oblubienicę. Praca jego nie szła na marne, gdyż po dwudziestu ośmiu latach pożycia małżeńskiego posiadał pokaźną gromadkę 24 potomków, synów i córek. Gdy mu pierwsza żona umarła, powiedział sobie John Busley, że kiedy Pan Bóg błogosławi, to na to błogosławieństwo trzeba dalej zasługiwać... i ożenił się po raz drugi z kobietą w kwiecie wieku, mając sam lat 46. I nie zawiódł się w swych oczekiwaniach, bo i druga jego żona była mu również dzielną współpracowniczką, obdarzając go szesnaściorgiem dzieci. A i ta liczna dzieciarnia nie próżnowała! Ma pan Busley swoich wnuków, a jest ich tyle, że szczęśliwy farmer nie może się ich nawet doliczyć, a nawet imion wszystkich nie pamięta. Rozprószyli się oni po całej Ameryce od północy do południa, a szczęśliwą tę rodzinę powiększają coraz to nowi obywatele. Pan Busley jest już dziś nietylko dziadkiem, ale i pradziadkiem, a może nawet prapradziadkiem. Pani Busley, która jeszcze karmi swą najmłodszą latorośl, pamięta imiona wszystkich swych dzieci, a nawet niektóre imiona swej szczęśliwej poprzedniczki. Pan Busley jest biednym człowiekiem, ale za nic w świecie nie wyrzekłby się ani jednego członka z swej licznej, dziś już niejednokrotnie starej dzieciarni. I to mu się chwali

780 miljonów dolarów z dymem. Według ogłoszonej ostatnio statystyki ludność Stanów Zjednoczonych w ciągu ubiegłego roku „puściła z dymem" 780 miljonów dolarów, wypalając olbrzymią ilość 119,049.105.104 papierosów. Przeciętnie na głowę ludności Stanów Zjednoczonych wypada 1000 papierosów rocznie.

Osobliwe dzieje „małpoluda". Na jakie już sposoby biorą się ludzie, aby coś niecoś zarobić, świadczy następujące zdarzenie. Oto przed dwunastu laty ogromną wrzawę wywołał w Ameryce proces niejakiego Toma Blacka, który zaskarżył firmę „Pomadia", produkującą maść na porost włosów. W skardze swej Black twierdził, że wyłysiał i zakupił sobie słoik maści z fabryki „Pomadia". Ale czy maści tej użył zadużo, czy też podczas snu rozsmarował sobie ją po twarzy, piersiach i ramionach — dość, że całe ciało Blacka pokryło się istnym lasem włosów. Wskutek tego wniósł on przeciw firmie skargę. Podczas rozprawy oświadczył jednak, że cofa swoją skargę, gdyż firma wypłaciła mu sto tysięcy dolarów odszkodowania. Proces skończył się polubownie, ale wszyscy łysi na gwałt kupowali ową pomadę. Tysiące słoików rozchodziło się po świecie, ale łysi pozostawali dalej łysymi. Dlaczego? Rzecz tę wyjaśnił dopiero teraz testament zmarłego Blacka. Oto Black nie był nigdy łysy, ale cieszył się nadmiarem włosów. Rzecz tę chciał wykorzystać. Udał się do fabryki „Pomadia" i zaofiarował jej użycie swej osoby do sprytnej reklamy. Zarobił 100 000, a głupcy dali się wziąć na kawał.

Bandyci w szpitalu. Niezwykła scena rozegrała się w jednym ze szpitali chicagowskich. Około północy rozległy się tam mianowicie w jednej z sal oddziału męskiego odgłosy strzelaniny, które zaalarmowały wszystkich i wywołały niesłychaną panikę. Niebawem wyjaśniła się przyczyna strzelaniny. Oto w szpitalu przebywał od pewnego czasu notoryczny włamywacz chicagowski, który przed miesiącem został zraniony ciężko podczas obławy. Owej nocy zjawiło się u niego z „wizytą" trzech innych bandytów, mających z nim do załatwienia pewne „porachunki". Na szczęście chory bandyta miał przy sobie browning, który ukrywał w łóżku zdoławszy się więc obronić przed miłymi gośćmi... Owej trójki bandytów nie zdołano pochwycić.

RZECZY CIEKAWE.

Ilu posłów liczą parlamenty?

Największym parlamentem na świecie jest Izba Gmin Wielkiej Brytanji, licząca 615 mandatów, (do niedawna było 707, lecz po wyodrębnieniu Irlandji, która otrzymała własny parlament, Izba Gmin zmniejszyła się o kilkadziesiąt osób).

Zaraz po niej idzie parlament francuski. Paryska Izba Deputowanych składa się obecnie z 612 posłów; senat liczy ich 314; razem więc posiada Francja przeszło 900 parlamentarzystów.

Trzecie miejsce zajmuje Reichstag niemiecki. W obecnej kadencji posiada on 480 posłów. Zaznaczyć trzeba, że w Niemczech konstytucja nie przewiduje stałej, ściśle określonej liczby mandatów, ile razy 60 tysięcy mieści się w ogólnej liczbie oddanych podczas wyborów kartek; innemi słowy, na każde 60 tysięcy głosujących obywateli wypada jeden mandat.

Tak więc, największe parlamenty w Europie posiadają: Anglja, Francja i Niemcy. Zaraz za niemi idzie Polska. Sejm nasz liczy 444 mandaty (senat 111). Dalej następuje Italja, której Izba Deputowanych składa się obecnie z 400 posłów; do niedawna było 535, lecz Mussolini zredukował tę liczbę do czterystu.

Inne parlamenty Europy mają poniżej czterystu posłów. Pierwsze miejsce zajmuje wśród nich Rumunja, której parlament składa się z 387 posłów. Dalej idzie Jugosławja; jej „Skupszczina" — chwilowo nieistniejąca — ma 315 mandatów. Sejm czechosłowacki zajmuje następne miejsce: 300 posłów (senat 150).

Z innych mniejszych parlamentów europejskich należy wymienić Bułgarję, której „Sobranie" składa się z 273 posłów; Grecja 250, sejm węgierski 245, Szwecja 230, Finlandja 200, Szwajcarja 189 (uwzględniamy tu tylko Izby niższe), Belgja 187, Austrja 165 i t. d.

Izba Reprezentantów Stanów Zjednoczonych A. P. liczy 435 posłów, parlament kanadyjski 245, japoński 466.

Jak daleko człowiek widzi?

Gdy się chce sięgnąć wzrokiem daleko, wówczas wychodzi się na wieżę lub na górę, lub w ostateczności na drzewo. Im wyżej stoimy, tem dalej wzrok nasz sięga. Horyzont to właśnie koło ograniczające nasze pole widzenia. Promień tego koła zmienia się w zależności od tego, jak wysoko nasze oko wznosi się ponad poziom. Jest rzeczą ciekawą, w jakich liczbach wyraża się dalekość widzenia w zależności od wysokości. I tak człowiek stojący na płaskim zupełnie stepie wznosi się ponad poziom o 1 i pół do 2 metrów, t. j. na wysokość własnego ciała. Horyzont jego ma wtedy promień 5 km., t. zn. widzi tak daleko, jak daleko mógłby zajść pieszo w ciągu mniej więcej godziny. Aby wzrokiem sięgnąć dwa razy dalej, t. j. na 10 km., wystarczyłoby człowiekowi wznieść się o 5 metrów wyżej, a więc np. wyjść na pierwsze piętro jakiegoś domu, tak, aby oczy jego znajdowały się o 7 metrów nad poziomem. Jeśli się chce widzieć na 15 km., trzebaby wyjść na wysokość dachu kilkupiętrowego budynku, tj. mieć oczy wzniesione na 15 metrów ponad poziom. Z siedmdziesiąt kilku metrów wysokiej wieży ratuszowej widać na 33 km. Ze 100 metrowego wzniesienia na 38 km. Zatem dalsze wznoszenie się w górę pomału bardzo powiększa dalekość widzenia. Z najwyższej góry w Tatrach możnaby, przy idealnej przeźroczystości powietrza sięgnąć wzrokiem na 200 km. Z najwyższej góry na świecie (ponad 8.000 metrów) widaćby było zaledwie na 350 km.

Ile wydajemy na wódkę i tytoń?

W 1928 roku w Polsce wypalono tytoniu, papierosów i cygar za 668,582.000 zł. W tym samym czasie wypito wódki za kwotę 573,133.000 zł. Do tego dorzucić należy spożycie trunków zagranicznych, jak koniaku, wina i t. p. Na artykuły te Polska wydała (wliczając i podatki i cło od tych trunków) conajmniej 32,534.000 zł. Do tego dodać należy spożycie piwa, które wynosiło 251 miljonów litrów, wartości 351,470.000 złotych. Razem na trunki i tytoń wydano w 1928 roku przeszło 1.625,719.000 złotych, co równa się 182.665.000 dolarów. Niewliczone są tutaj wydatki na gilzy, bibułkę do papierosów, jak również i zapałki. Pożyczka amerykańska z 1927 roku dała nam 62 miljony dolarów, czyli trzy razy mniej, niż nasze wydatki na spirytus i tytoń.

Losy nieszczęśliwej królowej.

Losy zdetronizowanych wielkim huraganem wojny i przewrotów rewolucyjnych monarchów europejskich niezawsze układają się tak idyllicznie, jak żywot w Doorn ekskajzera, rąbiącego drzewo lub ogłaszającego swe gorzkie żale o losie Niemiec republikańskich, które ściągnęły na siebie gniew Boży. Ferdynand bułgarski uzupełnia swe kolekcje motyli, były król Portugalji Manuel gra namiętnie w golfa i jest wyrocznią mody męskiej, wielcy książęta rosyjscy przejadają resztki swych fortun i chyba tylko Amannullah z melancholją wspomina swe niedawne arcyuroczyste i zyskowne podróże po Europie.

Świat szybko o nich zapomni i chyba tylko jakaś nieoczekiwana ekstrawagancja wskrzesi ich w pamięci ludzkiej i przemknie jako curiosum przez szpalty pism.

Ale są również i losy tragiczne, koleje życia niezwykłe osób, które płaszcz gronostajowy zmieniły na szarą zwykłą i wcale nie wytworną szatę codzienną. Wytrącone z życia, które wiodły bezpieczne i bez troski, pozostawione samym sobie, zapomniane przez wszystkich żyły gdzieś na ustroniu i tylko zgoła nieoczekiwany przypadek przypomina je światu.

Niezmiernie interesującą i brzmiącą sensacyjnie wiadomość przyniosło oto budapeszteńskie pismo „A Reggel" o losach byłej królowej Serbji, Natalji, wdowie po królu Milanie, z dynastji Obrenowiczów. Świat oddawna zapomniał o niej, dziś 70-letniej staruszce. Korespondent paryski „A Reggel" zupełnie przypadkowo dowiedział się o tem, że była królowa Serbji żyje i przytem w warunkach bardzo niezwykłych. Ale jeszcze bardziej niezwykłem było zdarzenie, które przyczyniło się do przypomnienia światu o jej istnieniu. Pewnego razu na jednej z ulic przedmieścia Paryża, jakiś woźnica nielitościwie okładał batem konia nie mogącego udźwignąć niepomiernie obładowanego wozu. Świadkiem tej sceny była przechodząca zakonnica, mała, zgarbiona, o pomarszczonej twarzy, ukrytej pod białemi skrzydłami kornetu. Energicznie zaprotestowała przeciwko okrucieństwu woźnicy, odzywając się do jego sumienia. Woźnica w odpowiedzi zamierzył się batem i uderzył zakonnicę. Nadbiegli ludzie, policja. Staruszkę odwieziono do szpitala i oto okazało się, iż tą poszkodowaną i ofiarą zezwierzęcenia okrutnego człowieka była... królowa Natalja, dawna królowa Serbji.

Losy jej były istotnie niezwykle i bardzo dramatyczne. Była córką jednego z wielkich magnatów

Mołdawji, Iwana Keszło i w roku 1875 poślubiła ówczesnego wielkiego księcia a późniejszego króla Serbji, Milana, dając życie przyszłemu królowi Serbji, Aleksandrowi. Życie rodzinne królowej Natalji było nieprzerwanym pasmem udręczeń z okrutnym i rozpustnym Milanem. W 1885 roku opuszcza ona Serbję, udając się do Włoch, dokąd zabrała ze sobą następcę tronu serbskiego. Po trzech latach otrzymuje formalny rozwód z królem Milanem, który już następnego roku zostaje zmuszony do abdykacji. Wówczas królowa Natalja wraca wraz z Aleksandrem, ogłoszonym już królem Serbji, wszakże Regencja zmusza ją do opuszczenia Serbji nazawsze. Królowa Natalja emigruje do Francji, gdzie spędza długie lata w małym domku pod Paryżem. We Francji była królową Serbji przechodzi na katolicyzm i podczas wielkiej wojny jako siostra miłosierdzia pracuje w szpitalach paryskich. W zrezygnowanej i ofiarnej pielęgniarce nikt nie domyślał się nawet byłej osoby koronowanej. Zasoby materjalne byłej królowej topniały i schyłek swego życia pędziła w dość dotkliwym niedostatku, mając jako jedyną towarzyszkę pewną zubożałą arystokratkę polską, której nazwiska jednak korespondent „A Reggel" nie wymienia.

Na jego zapytanie, czy nie posiada jakichś pamiętników, lub czy nie zamierza ich napisać, odpowiedziała: „Byłaby to najsmutniejsza książka na świecie. Życia mojego nie opromienił żaden uśmiech szczęścia. Pocóż więc dzielić się własną niedolą ze światem".

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Antoni Leśniak** w S.: „Z tęsknoty" przeznaczamy do druku. — **Władysław Saw** w J.: „W starym młynie" posiada treść zajmującą, ale opracowanie bardzo słabe, styl nierówny, przeto drukować nie możemy. — **Karol Wójcik** w D.: „Komornica" będzie drukowana, lecz później, gdyż mamy dużo materjału aktualnego. Wierszyk „Tyś kwiatem" leży już złożony w druku, ale jakoś tak się składało, że dotychczas nie mógł się pomieścić w „Roli". — **R. Serwacki** w K.: Nie jest to prostokąt magiczny, ale arytmograf. Skorzystamy, ale na przyszłość prosimy pisać atramentem. — **Wincenty Stach** w J.: Niech się Pan zwróci do księgarni „Wiedza i Sztuka", Kraków, Gołębia 10/R. i sprawę opisze, a odpowiedzą, czy można nabyć i ile kosztują. Znaczek na odpowiedź trzeba załączyć. — **Józef Łaskuda** w S.: Utwór prosimy przysłać, może akuratnie będzie udatny. Cześć! — **Michał Rucki** w K.: Zbywające numera prosimy rozdać na reklamę. Na pierwsze półrocze zapłacone jest 6 zł. — **Wł. Posiadło** w G.: Numer okazowy do Niemiec posłaliśmy, bez czeku jednak, bo tam konta pocztowego nie mamy. Prenumeratę stamtąd można przesłać w liście poleconym lub przekazem. — **Józef Kosiaty** w R.: O ile gmina zarządzi, to rejestracja jest przymusowa. Cześć! — **Jędrzej Kapuściński** w M.: Na prenumeratę do końca roku brak 8 zł. Za uznanie dla „Roli" dziękujemy, a Maciek za uznanie też dziękuje, no i cieszy się. — **Józef Kapuściński** w L.: Czy „Rolę" do Francji posyłać w dalszym ciągu? Na prenumeratę całoroczną dla Pana brak tylko 5 zł.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Zgraja Władysław z Chronowa 1 zł., i na śledzia dla Maćka 1 zł.; Michał Zabagło z Krakowa 1 zł. dla Kaśki; L. Maruczarczyk z Krakowa 30 gr. dla Maćka na cienkie; Czytelniczki „Roli" z Krzeszowic 1 zł. dla Maćka na puder „Dzidzi".

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.),

☆ ■ ☆ ☆ ☆ Zawód.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Rzeka we Włoszech.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Zawód, wstecz.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Pieniądz.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Drzewo
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Owoc, wstecz.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Miasto,
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Rzeka zagraniczna.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Miasto biblijne.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Rzeka.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Poeta.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Dopływ Wisły.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ Miasto zagr. wstecz.

W miejscu kwadracików litery czytane z góry na dół, dadzą nazwę ulicy w Krakowie, znanej każdemu czytelnikowi „Roli".

2. Szarady.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

I.

Drugie trzecie służy pod zboża uprawę,
Wielkie do działania mają serca prawe,
Pół drugiego pierwsze wspak, Bzdura [w „Roli" gada,
Co tydzień nam nowe rzeczy opowiada.
Trzecie-i czwarte znane męskie imię,
A nosił je także nawet papież w Rzymie,
Całość imię wodza co świat zawojował,
Polacy go czcili i on ich szanował.
Szanował Polaków za krew, trud i znoje.
Zaś oni pokładali w nim nadzieje swoje
Obietnicy jednak swojej n e dochował
Za co później na wyspie długo pokutował.

II.

Wczoraj zabił rzeźnik świnie
Położył na całość,
Całem także Wisła płynie,
Wisła śliczna jejmość
Bez pierwszego z drugiem niema drzewa [w świecie
Pierwsze pół trzeciego myszy wróg jest [przecie,
Drugie pół pierwszego słyszymy w oborze,
A na nowe trzecie drugie poprowadź nas [Boże.

III.

Pierwsze drugie maść konia w pieśniach [opiewana,
A także moneta za zbrodnie dawana,
Znowu pierwsze trzecie gorzki napój daje,
Na nodze mnie drugie czwarte boleć nie [przestaje,
Zaś biblijne miasto daje pierwsze czwarte,
Drugie pół pierwszego w rzekach trzyma [wartę,
Czwarte trzecie w kościele boczna się [znajduje,
Zaś od Kaśki wszystkim trzecie drugie Ma- [ciuś nakazuje.
Całość przez Saharę niegdyś przechodziły
Wiele nam po sobie wspomnień zostawiły.

3. Przestawianki.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Jak to! paź Gold kadzi cesarza?

II

Adam chce batoga z Tatarem.

III.

Edek płynnie sumuje.

IV.

Pan przymiesza „Zdrój".

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 11 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 12 „Roli": 1. Wiro-krzyżówka: a) wirowe: kałamarz, adorator, ośmiobok, jarmarki, narkotyk, alchemja, Indostan, Limanowa, starosta; b) poziome: akt, ryk, mak, kra, osa, ara; c) pionowe: Aza, tka, ból, Ren, tai, nit. 2 Szarady: Kozienice, Jamajka rum. 3 Kalambury: I. Karnawał. II. Kapliczka. III. Pardwa.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Hela Bandułówna z M., Władysław Zyzak z S. Ż., Jan Gara z W.

Nagrody wylosowali pp.: Hela Bandułówna z M. i Władysław Zyzak z S. Ż.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 25 marca b. r.

Pszenica .	37·00—37·50	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto .	19·00—19·50	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	17·50—18·00	Koniczyna nasienn. czer.	200·00—220·00
Jęczmień .	19·00—20·00		
Fasola biała	60·00—65·00	Mąka żytnia	35·00—36·00
Groch zwyk.	30·00—31·00	Mąka pszen.	68·00—69·00
Siano słodk.	9·00— 9·50	Otręby pszen.	14·00—15·50
Łubin żóły	27·00—28·00	Otręby żytnie	13·00—13·50
Koniczpastew.	11·00—12·00	Mąka czerw.	17·00—18·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 25 marca b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·20 do 1·56 zł.	Jałownik	od 1·13 do 1·53 zł.
Woły . .	od 1·30 do 1·60 zł.	Cielęta .	od 1·12 do 2·00 zł.
Krowy .	od 0·83 do 1·48 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizne	2·45 do 2·64 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 3·15 do 3·40

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy jeszcze w zapasie.